

*Janina z Nowakowskich Bojarska*¹

Dnia 16 kwietnia 1916 roku
Przypuszczalnie w Ilży

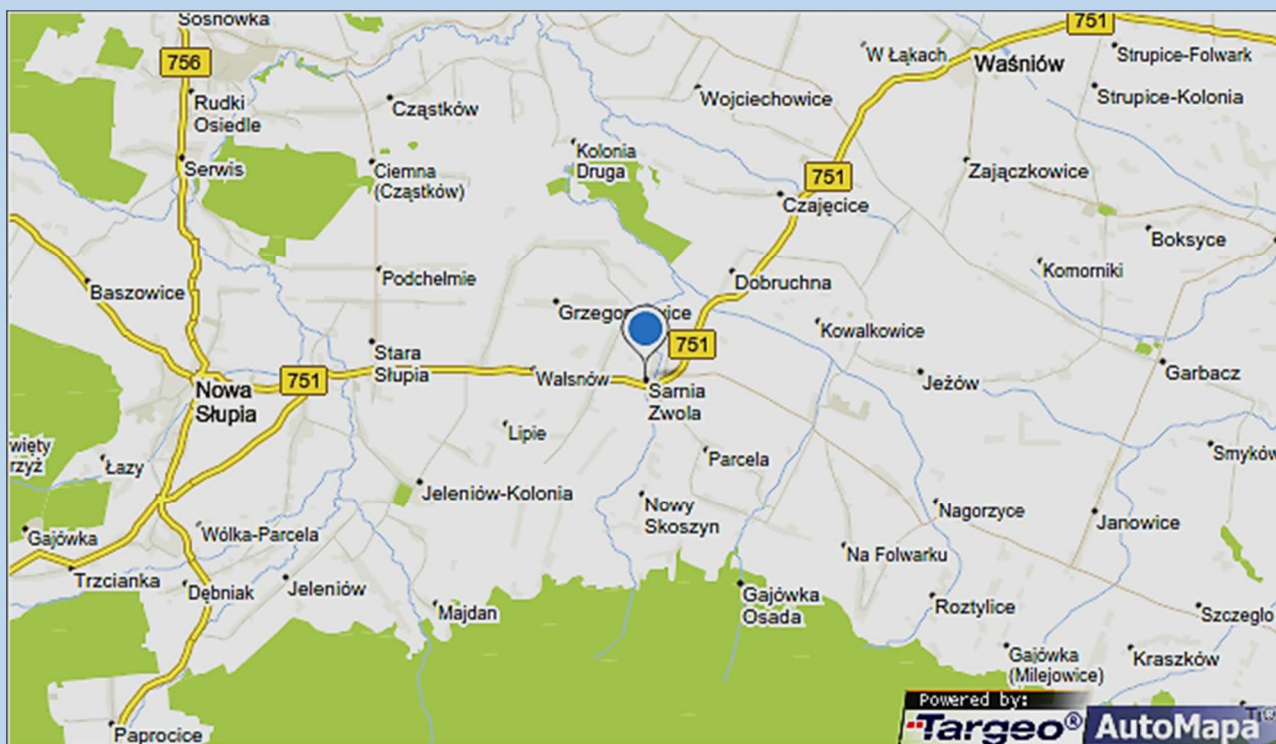
Wspomnienia z Sarniej Zwoli



Wszystko przemija. Zabawy w Zwoli w latach 1870-tych

Sarnia Zwola była zapisana w hipotece i na początek się adresowało, lecz zwykle się mówiło i pisało Zwola.

W Zagłębiu Świętokrzyskim to jedna z najmilszych i najurodzajniejszych wiosek. Leży o pięć wiorst od Łysej Góry, w gminie i parafii Grzegorzewice [obecnie Grzegorzowice], powiecie Opatowskim. Około 20 włók ziemi wybornej rozciąga się na lekkich pochyłościach przeważnie pod wschód i południe, granicząc ze Skoszynem, Kuninem, Walsnowem, Grzegorzowicami, Czajęciami i Mirogonowicami. Wszystkie te wsie wymienione, zamieszkałe były przez rodziny z dawna tu osiadłe i ze Zwolą szczerze zaprzyjaźnione. Rola zawsze dawała obfite plony, bo była obrabiana starannie i umiejętnie, właściciel Zwoli, Rafał Targowski, herbu Rogala, ożeniony był z najstarszą siostrą naszej matki Stefanją Rudzką z Gorzkowa. Ciocia liczyła 18 lat, gdy ją mąż 32-letni przywiózł jako panią do starego Zwolskiego domu.



¹ Janina z Nowakowskich Bojarska (1863-1946) jest córką młodszej siostry Stefanii Targowskiej, żony Rafała Targowskiego, właściciela Sarniej Zwoli. Stefania Targowska była więc jej rodzoną ciotką.



Bo starym już wówczas był bardzo ten dwór drewniany, na podmurówce dość wysokiej od ogrodu, skarpami na rogach wsparty. Ogród i dom otaczało 360 wspaniałych lip. Dziadek nasz, Ignacy Rudzki, gdy młodą córkę odwiózł po ślubie na nową siedzibę, szczerze się zmartwił widokiem tego starego domostwa i odtąd, ile razy był wichur i burza, biadał do babci: *"O, już dziś to ta wichura pewno nam dziecko w Zwoli przytłucze"*. Tymczasem ciocia przeżyła 60 lat w tym domu zdrowo i szczęśliwie, a dziś jej syn z rodziną wcale się nie obawiają przytłuczenia, mimo że dwór stoi ten sam i nawet mało co reperowany przetrzymał wiele nowych, pięknie murowanych dworów.

Wuj Rafał kończył Marymont i gospodarował bardzo dobrze, lecz pięknych urodzajów temu nie przypisywał, a zawsze mówił, że dlatego burza i grady Zwolę omijają i w ogóle klęski, gdyż przy zakładaniu jej kiedyś przed laty zachowano dobry stary obyczaj. Dwóch braci bliźniaków dwoma wołami, też bliźniakami, oborało obszar zakładającej się wsi. Stąd ma pochodzić to, że Zwolę wszelkie klęski żywiołowe omijały. I rzeczywiście chleb się trzymał tego pocziwego gniazda, urodzaj i na zboże, i na dzieci był doskonały i tak jedno jak drugie udawały się zdrowo i pięknie, lecz obok tej szczęście wróżącej legendy, było i ponure podanie przywiązane do starej Zwolskiej oficyny, mieszczącej za mej pamięci po jednej stronie mieszkanie karbowego, a po drugiej gościnną izdebkę.

W tej dość sporej izbie rozegrał się straszny dramat. Syn ówczesnego właściciela Zwoli, pan Młodecki, zabił ojca. Z jakiego powodu, nikt już powiedzieć nie umiał, bo to bardzo stare dzieje; przypuszczam chęć owładnięcia wioską wcześniej, niż po dobrowolnej śmierci starego. Mówiono, że w tej stancji straszło długo i dopiero po poświęceniu i odprawieniu żałobnej Mszy ustało. Ale krew na ścianie podobno długo zabielić się nie dała i czy dlatego, czy dla inszego, ja jeszcze pamiętam, że jedna ściana, była zawsze inna jakby żółtawa. Na moich wujostwa nic przykrego nigdy z tego podanie nie spadło. Dawni właściciele gdzieś wywędrowali, uciekając z miejsca zbrodnią splamionego, a nowi byli tak dobrzy, że odkupili swoją pocziwością całą wieś od kary Bożej. Ciocia, choć tak młoda, dziwnie łatwo wyrobiła się na prawdziwą matkę wiejskiej gromadki, z którą się dziwnie zjednoczyć umiała, sama nie chłopiając przez to.

Wysoka, dorodna, nawet ładna kobieta, łagodna i bardzo pogodnego usposobienia, tańczyć nie lubiła wcale, a o strojach to i minuty w życiu nie pomyślała. Ubierała się zawsze jednakowo, bez względu na modę: siemieniaty perkalik w lecie, beż lub ryps również popielaty w zimie to niezmienny jej ubiór, krój: prosta spódnica fałdzista i gładki kaftan luźnego fasonu.

Urodziła 11 dzieci: 6 córek, 5 synów, bez żadnej nigdy lekarskiej pomocy, wstawiała na trzeci dzień, a o mamkach nikt tu nigdy nie myślał. Matka wykarmiła całą gromadkę, która się także z doktorem w Zwoli nigdy nie widziała. Wszystkie dzieci miały jasne włosy i niebieskie oczy, jedna tylko dziewczynka miała czarne oczy. Sąsiad jeden, młody jedynaczek wyrażał się pogardliwie: *"Gdy się przez Zwolę jedzie, to na polu tylko białe łby z grochu wyglądają."*, rzeczywiście tak było, liczna dzieciarnia chętnie w grochu przebywała, bo i na obiad sporo go bywało potrzeba, ale wyśmiewane białe łby wyrosły na uczciwych ludzi, a ów elegant na łotra pierwszej klasy. Nauczycielka była bardzo



długo ta sama, panna Jeżewska rzadkiej brzydoty, ale dobra kobieta i do Zwoli się nadała. Wuj zawsze mówił, że te dzieci, które on do chrztu trzymał, zawsze są ładne. Ojciec mój, raz patrząc na p. Jeżewską, rzekł mu cicho: *"Może byś ty i tę guwernantkę potrzywał, choć w drugą parę, to by choć trochę wyładniała."*

Dzieci ją lubiły, ona wymagań wielkich nie miała, godzono się doskonale, później chłopcy szli do szkół w Kielcach, dziewczęta na pensję tamże. Tryb życia był niesłychanie pracowity, wuj i ciocia wstawali zawsze o 4-ej rano. Wuj prócz karbowego nie miał żadnych pomocników, ciocia dużym gospodarstwem za-wiadywała sama.



W oborze piękne, choć zwykle krowy, dawały dużo mleka, które się na masło, sery zwykłe i sery słodkie przerabiało, trzoda liczna służyła w okolicy i gdy z nią ciocia sama osobiście stanęła na jarmarku w Słupi lub w Bodzentynie, chłopstwo dobijało się o nią, bo z żadnych dworów tak ręką nie idzie jak od Zwolskiej pani.

Ogród dostarczał powideł, suszu, miodu, konfitury i soki bywały z leśnych malin i "dziadów", wiśnie miodem nalewane dawały wyborne wiśniaki. Wszystkie te wyroby ze Zwoli były starannie zrobione i w smaku doskonałe. Maku była obfitość, a makagigów odjeść się nie można było. Lny udawały się ślicznie, wyczesane złociste sploty szły na kądziele w zimie. Ciocia przędła prześlicznie, córki jej także, a pod takim przewodem i dziewczki starać się musiały. W czeladniej izbie, przy maleńkiej lampie, rażno szła robota i wesołe pogwarki i opowiadania. Z lnu i konopi tkano na warsztacie tkackim płótno rozlicznych gatunków od cienkiego na koszule dla domu i czeladzi, do grubego na wańtuchy na wełnę i żagle do zwożenia rzepaku. Wełnę przędzono także, potem farbował farbiarz i tkano ładne, ciepłe, choć ciężkie, szare, tak samo noszone jako ciepłe halki przez panny ze dworu, jak i na wierzch przez dziewczki służące. My,



ubierane w ciemniejsze fabryczne flanele, zazdrościliśmy krewniaczkom ich wesołych w barwiste paski poprzeczne spódniczek. Ciocia celowała w tej robocie, najstarsza córka Helcia wcześniej zaczęła pomagać, inne za nią. Ja choć szczerze chciałam się tkactwa nauczyć, wobec takiego dużego warsztatu miałam za mało siły i rzucając czółenkiem, nieraz zerwałam nić w osnowie, co musiały kuzynki reperować.

Spizarnia była zawsze bardzo zasobna: słoniny, sadła, kiełbasy, szynki wisiały rzędami, czeladzi dużo, bardzo przychylniej, żywionej dostatnio, służyła wiernie i uczciwie. Dziewka po trzyletniej służbie na wiano dostawała krowę i prosię, w ciągu służby koszulą i buty, i często szarę. Taki był system cioci, nigdy od niego nie odstępowała, a i wesele grane było nagrodą uczciwej służby. Toteż "Nasa pani" miała we wsi swojej wielką wagę i powagę, po wszystko na poradę do dworu, gdzie wiedziano dobrze, że każdego wysłuchają, poradzą dobrze, a jeśli poradzić nie mogą, to wysłuchają ze współczuciem. Prania ciocia sama dozorowana, później córki. Kuchnia nie była wykwintna, wszyscy jadali i lubili proste potrawy, a już co ciocia, to zupełnie chłopskie, ale wyglądali na nich czerstwo i zdrowo, legomina tylko być musiała koniecznie, bo od tego znów wuj nie odstąpił. Przy tak wielkiej od świtu do nocy pracy, ciocia jednak co dzień znalazła chwilę, aby po obiedzie przeczytać gazety. Było to czytanie uroczyste, bo w saloniku, gdzie dzieciarnia nie wchodziła, na kanapie przy dużym stole założonym pismami.

Gdy ciocia do kościoła nie jechała, tak samo tam modliła się z książki p.t. "Głos Duszy". Nigdy cioci gdzie indziej czytającej nie widziałam. Gazety do Zwoli przychodziły dwa razy na tydzień, posyłano po nie do Ostrowca na pocztę, a czytano najpierw ceny zboża, na których ciocia znała się doskonale.

I na lecznictwie wiejskim także, choć sama nie potrzebowała, apteka w Zwoli zaopatrzona była suto, a ile ciocia ziół znała, ich własności, to chyba jak nikt. Odczyniania, uroki owczarskie sztuki także znała wybornie, nie używała ich nigdy, ale ułatwiało to jej porozumienie się z ludem, którego mową doskonale władała. Była to w całym znaczeniu matka, pani i opiekunka wioski, królowała też w niej prawdziwie, mimo że zapracowana była tak samo jak i wszystkie kobiety wiejski. A może i dlatego ta pani była wsi tak bliską, że znała pracę jak i wieśniaczki, a górowała taktem, dobrocią i rozumem. I sąsiedzi ciocię bardzo cenili, jej zdrowy sąd dużo znaczył w okolicy, bo znali wszyscy rzetelną szczerść jej charakteru popartą bystrą obserwacją i trzeźwym rozumem. W domu była niepodzielną władczynią, dającą przykład wszystkim pracowitością wielką.

Małżeństwo było bardzo zgodne, podzieliło się pracą i rozumiało się wybornie. Wuj lubił piękne konie, ale swego chowu; handlów, zamian nie cierpiał. Szkap służyła, aż jej się sprzykrzyło i mimo dobrego siana i owsa dawanego obficie, zdychała ze starości. Zaprzęgi zawsze bardzo porządnie utrzymane, wózki zgrabne, a ulubiony do jazdy wasząnek nawet drogi do Warszawy się nie lękał; powóz darmożjad stał w wozowni, od wesela wujostwa nie ruszany, oboje nie lubili nim jeździć, ciocia za nic by nie wsiadła: *"bo jadąc, musi widzieć drogę przed sobą"*. Co prawda straszne drogi Świętokrzyskie usprawiedliwiały tę niechęć do zakrytych ekwipaży. Wuj mówił: *"że wózek to i jego kowal zreperuje, a na miejskich mechaników to szkoda pracować."* Ale czwórka koni szła



w wózku prześliczna, ogiery łbami wyrzucały z fantazją, a furman Motyl, ubrany w zimie w granatową, pąsowym wyszywaną w kwiaty kierezję, a latem białą, też z pąsowym wyszyciem, opasany błyszczącym krakowskim pasem z kólkami, w krakowskiej czapce z pawim piórem, mógł i przed króla zajechać, taką miał zamaszystość w ręku, że z bata strzelał jak z armaty, a czwórka, choć rączo w dziedziniec wpadała, to przed gankiem stawała od razu jak wryta. Nie każdy chłop tak się nauczy, w Zwoli Motylów ród furmanił dziedzicznie.

Wozy, pługi, radła, brony, młocarnia, wszystko było utrzymane bardzo starannie i mitręgi w robocie dla zepsutego narzędzia nigdy nie bywało.

Owiec dużo hodowanych troskliwie; mleko, to dział cioci: sery jej roboty słynęły z dobroci, ale wełna to już wuja gospodarstwo, domyta do jasnej białości miewała zawsze dobrą cenę.

Tak samo i zboże. Ziarno czyszczone pracowicie, osobliwie do siewu i na ordynaryję, czeladź zawsze dostawała ziarno wyborowe. *"Pracuj, to im się należy"* - mawiał wuj. Pszenica była śliczna, owies ciężki, a groch obficie siany, bardzo był poszukiwany przez kupców jako prędko się gotujący i smaczny. Wuj był sam wszędzie i to najczęściej piechotą, w białym kitlu płóciennym z grubą trzcina w ręku, od świtu obchodził wszystko i wiedział o wszystkim. Pewną jestem, że te wędrowki, dodane do tej legendowej bliźniaczej orki, dawały Zwoli dobrobyt. Las bukowy na stokach Gór Łysych, ochraniały troskliwie, ogrzewał dom i dawał jagód i grzybów moc. Wuj był bardzo miłego usposobienia, a serca idealnego.

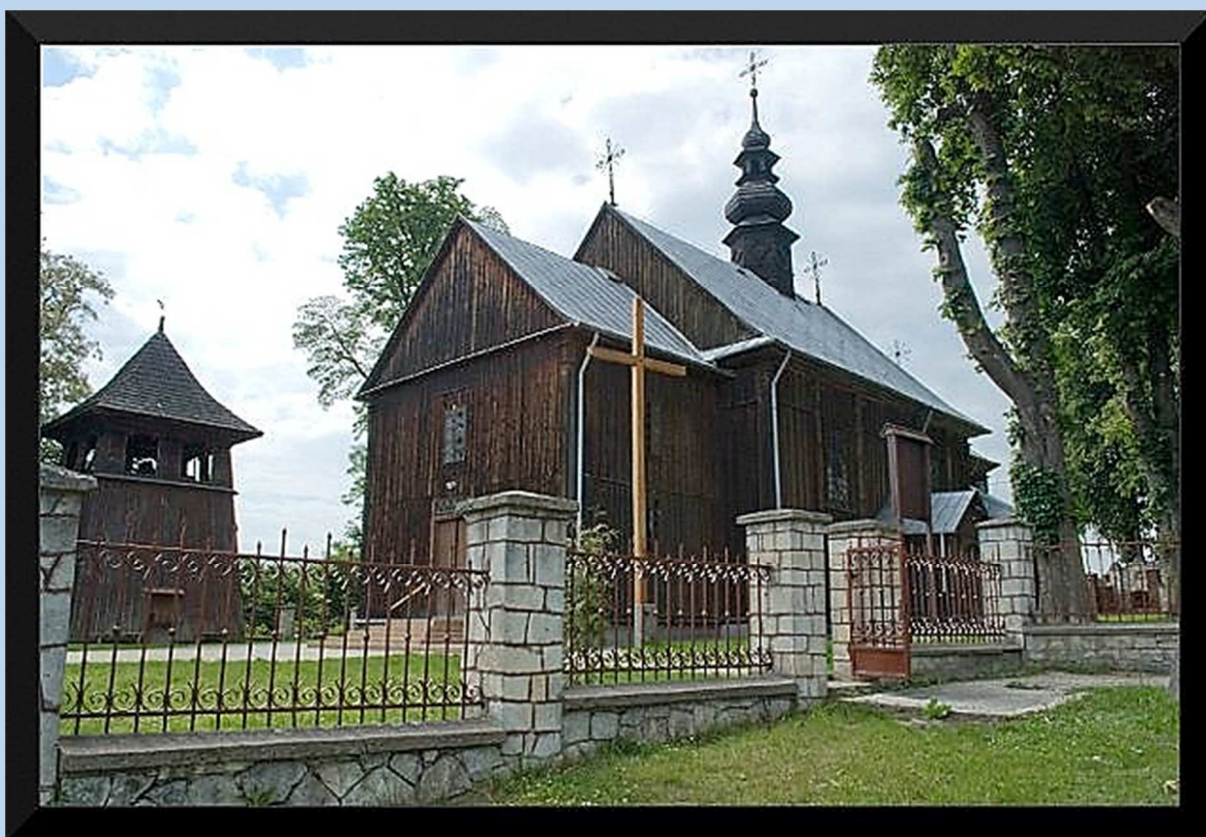
Bardzo delikatny w obejściu, nigdy nie używający chłopskich wyrażeń, różnił się tym od cioci, która nieraz się mową ludową, mówiąc z wieśniakami, posługiwała. Bardzo cenił klejnot szlachecki, ale bez cienia pychy, owszem, szlacheckość ta u niego była całym szeregiem obowiązków twardych, uwagi na siebie bacznej, aby jakim już nie złym czynem, bo o tym nie pomyślał nigdy, ale choćby jakim drobnym uchybieniem komu nie pokalać tego słowa szlacheckiego. Wszystko, co szlachetne, zacne, dążące do dobrego, dające przykład uczciwości i cnoty, wszystko to u wuja zamykało się w tym słowie. Grzeczny nadzwyczaj, ale bez cienie uniżoności, na usługi sąsiadów gotów zawsze; wyzyskiwali go może trochę czasem, ale nie gniewał się o to, bo wiedział, że i oni mu usłużyć gotowi, gdyby zażądał, ale żądać się wystrzegał. Kochali też wszyscy poczciwego Rafała ogromnie, tak rodzina jak i okolica. Bardzo był uważający na formy towarzyskie, przestrzegał ich bardzo, czem, jak mi mama mówiła, przypominał swoją matkę, panią Targowską z Małoszyc. Ta staruszka zachwycała moją matkę, która jako młoda siostra kochanej synowej, często z nią u nich bywała. Była zawsze ślicznie ubrana, czyściutka, elegancka, czepeczek bielutki, włosy poprzepinane po staroświecku grzebykami i zwijane przy skroni w srebrzyste loki, szlafroczek zawsze jak z igły, a grzeczność i uprzejmość przyciągały moją matkę na całe godziny do jej fotela. *"Moje drogie dziecko,"* - mówiła – *"gdy się młody nie ubierze, to mu i tak ładnie, bo młody, gdy się zminie z grzecznością, nie pochwalą, ale darują, bo młody, ale gdy stary zaniedba, czy w tem, czy w tem, o to już nie do wybaczenia, bo to stary, to by ludzi zaraz odstraszył od siebie."* Nieraz mi to matka powtarzała. Wuj lubił także staranność w ubraniu,



mimo ciężkiej pracy zawsze ochędźnie wyglądał i dwa pokoje, salonik i tzw. pierwszy, musiał mieć wysprzątane elegancko i zawsze czyste firanki w oknach.

Meble mahoniowe z jasną inkrustacją w salce, a jesionowe w pierwszym pokoju, kurzu na sobie nie znosiły, szafy za szkłem mieściły sporo książek, które rad czytywał. Fajczarnia mieściła dużo cybuchów i dwa piękne haftowane kopcuchy do tytoniu. Wuj czasem palił fajkę, a jeszcze rzadziej cygaro, fajczarnia była po ojcach. Reszta domu była urządzona spartańsko, proste stoły, ławy zwykłe, drewniane łóżka, bielone ściany, myte podłogi, inaczej być nie mogło przy takiej domowej rzeszy; wuj to dobrze rozumiał, w nic się nie wtrącał, co się działo na drugiej stronie, tylko chciał mieć w domu kąt, w którym by było cicho, czysto i względnie elegancko. Sypialny pokój wujostwa był jakby pośrednikiem pomiędzy dwoma połowami dworu odrębnymi wyglądającymi. Zdawałoby się, że dwoje tak zapracowanych i oszczędnych ludzi, nie będą skorzy do wizyt, a tem mniej do zabaw, zwłaszcza, że ciocia nigdy tańczyć nie lubiła, czego matka nasza, zawołana tancerka pojąć nie mogła. Tymczasem przeciwnie, trudno było o weselszy, gościnniejszy dom, do którego by ludzie bardziej lgnęli. Ciocia mniej bywała, bo przy tak częstych dzieciach było to trudno, choć dawniej nie stanowiło to przeszkody i jeździło się na bale z dziećmi w poduszkach, damy bardzo zaawansowane ubrane *de cotté*, okryte koronkowym szalem, asystowały weselom sąsiadek i przyjaciółek, bo nie być na nich równało się ciężkiej wyrażonej obrazie, niemal krzywdzie. Opowiadano mi, że na weselu matki naszej, jadąca przyjaciółka musiała w połowie drogi wstąpić do swej matki, dla odpoczynku, który się jednakże przeciągnął, a urodzony synek kazał jej się wyrzec myśli o jechaniu na to wesele i bardzo liczne zebrania. Mążonek ją pojechał wytłomaczyć. Dziś to trudne do zrozumienia, bo ludzi dziś nie łączy taka zażyłość, taka chęć wspólnej zabawy, że już o przyjaźni nie wspomnę, bo tej już nie znają nawet z nazwiska. Ale wtedy szlachta siedziała w jednych miejscach od dziada pradziada, była spokrewnioną, spowinowaconą z całym powiatami, zaręczała się i żeniła się blisko, żyła z sobą po rodzinnemu, więc jedni na tańce, inni na patrzenie, jak się bawią, jechali zawsze chętnie i gromadnie. Wioski choć niewielkie, ale dobre, dawały dość, aby przyjąć sąsiadów. Prócz zboża i wełny nie sprzedawano nic, w zwykłe dni żyło się bez zbytków, a najmilsza rzecz ugościć przyjazne grono. Goście też nie wymagali żadnych nadzwyczajności, aby była muzyka umiejąca grać skocznie ulubione tańce, dostatnia kolacja, wina, zwykłego węgry, o jakie łatwo było w Opatowie, do figur mazurowych i toastów, to już hasano do białego dnia, z werwą i ochotą, mimo niewielkich saloników, jakie prawie wszędzie bywały, bo to nie były dwory pańskie, a więc i wielkich sal balowych w nich nie było.

W dzień św. Szczepana, tj. drugie święto to Bożego Narodzenia, wuj Rafał z Helcią jechali zawsze do Gorzkowa. Tu, w dużej sieni, wuj się szybko ubierał w przywieziony w białym zawiniątku frak i tak wygalowany wchodził do pokoju i składał życzenia szacownej Matce dobrodziejce życzenia szczerze, serdeczne, setnych lat i zdrowia dla szczęścia dzieci i wnuków. Babcia je równiacz serdecznie przyjmowała i wywzajemniała się kochanemu zięciowi, choć nie w tak kunsztownych wyrazach.



Gorzków, kościół św. Małgorzaty

To był początek karnawału, od tych odwiedzin matki zaczynał wuj wizyty, zawsze z Helcią, bo ciocia, jak wspominałam, rzadko wyjeżdzać mogła. Nie znałam panny, która by się więcej wytańczyła w życiu jak ta dziewczyna. Jako podrastająca panienka już zaczęła wujowi towarzyszyć. Bywały karnawały, że tańczyła na 30 wieczorkach, bo balami trudno było tych zabaw nazywać, choć to były bardzo liczne zebrania, lecz urządzający je sami te zjazdy wieczorkami zwali. Toalet nie potrzeba było kosztowanych: biały lub różowy tarlatan po 15 kop. łokieć ubierał ślicznie i świeżo hoże dziewczęta, alpaga różowa po 30 kop. już była droższym strojem, a szarfa atlasowa w żywym kolorze, róża lub niezapominajki z konwalia dopełniały karnawałowej toalety. Piękne zwykle włosy panny cesały same bez fryzjerów. Suknie się przerabiało i odświeżało w domu lub w Opatowie, gdzie także kupowało się wachlarze i prunelowe buciki do tańca, bo pantofelków wtedy nie noszono już i nie zaczęto nosić jeszcze. Piszę 'już', bo babcia nasza tańcowała w płyciutkach z bandażami, lecz o tej modzie wtedy już było głucho, a dzisiejsza nie była przewidzianą. Noszono długie treny u sukien, co przy ciasnych pokojach o licznych parach wymagało nie lada tańczej zręczności i nierzadko całe łokcie falbanek tarlatanowych szło w strzępy pod obcasami dziarskiej młodzi, jak to złośliwie wydziwiał w swoich dowcipach Kostrzewski. Pismo "Kłosa" co tydzień dawało jego koncepta, których się szlachta na pamięć wyuczała.

Ze z tych wieczorków się kojarzyło mnóstwo par małżeńskich dodawać nie potrzebuję.

W Zwoli w karnawale rzadko tańcowano, chyba tak sobie "po fortepianie" zjechało się liczniejsze grono, państwo Malczewscy z Truskolas zagrali, on na



skrzypcach, ona na fortepianie, ich córki, panny Majewskie ze Słupi, Reklewskie ze Skoszyna, Helcia domowa, młodzież, co bliższa trochę, i stawał kontredans, a po nim już wesoło i różne szły inne tance. Ale to było tak sobie.

Zjazd zaś liczny, lecz prawie tylko rodzinny, bywał na 2-go września, w dzień św. Stefana - imieniny cioci. Siewy to były jesienne, więc tylko rodzina i bliżsi sąsiedzi wieszowali cioci, tańcząc do rana, ale tylko "po fortepianie".

Duży zaś wieczór, balem przez okolice zwany, gromadzący do 100 osób lub więcej, bywał na imieniny wuja na św. Rafała 24 października. Tę datę znało wybornie całe Świętokrzyskie, wujostwo mieli stosunki rozliczne, wuj rodzinę i pod Warszawą, sam lubił tańczyć. W pierwszych latach po ślubie na weselach swoich kuzynek w Radomskim i Grójeckim bawił się doskonale, w czym mu placu dotrzymywała nasza mama jako młodziutka panienka, z siostrą na te zabawy jeżdżąca, bo co ciocia, to się wciągnąć do tańca nigdy nie dała. Wszystkie te stosunki wuj podtrzymywał, na imieniny jeździł lub pisywał, wszyscy cenili poczciwego człowieka i gdy rozesłał listy z zaprosinami, zbierali się szybko i hurmą do Zwoli jechali. Matka nasza z lży już nie dla tańca, bo go po powstaniu zarzuciła zupełnie, ale dla zobaczenia się z ukochaną rodziną swoją i wujową, z którą się znała od dziecka, jechała zawsze na ten dzień do Zwoli. Ojciec żartował z zapału, z jakim się wybierała, bo zwykle była to pora słotna, drogi potworne, lecz to nic mamy nie zrażało.

O toalety nie było kłopotu, panie mężatki nie siliły się na stroje: jedna jedwabna suknia służyła kilkanaście lat, trochę tam dla mody przerabiając. Czy to one panny czy co, jadę, aby się nagadać i zabawić, a nie, aby koszta ponosić. Wszystkie znały od lat wielu swoje suknie. Nowe jedwabie kupowało się tylko na wesela sióstr lub krewnych. Jeżeli mamę tak cieszyła ta zabawa, cóż dopiero mówić o moich młodych ciociach z Gorzkowa. Te i o innych myślały i o tym, kogo spotkają, a niepokój, czy będzie dużo danserów, czy będą jacy nowi, jacy z daleka, bo zawsze nie zaważą cenniejsi. Do tańca bardzo był pożądanym "Wielki piec", czyli koledzy z górnictwa, najstarszego syna wujostwa Marjana.

Suchedniów, Starachowice, Rejów, Mostki aż się roiły wówczas od szlacheckiej uboższej młodzieży, chętnie się garnących do pracy przy kopalniach rudy żelaznej i przy wielkich piecach wytapiających surowiec. Byli to chłopcy zgrabni, przystojni, dobrze wychowani i ślicznie tańczący, bo życie w tych zakładach górniczych aż wrzało od zabaw. Panny, nieraz obce zupełnie, jechały na zabawy pod opieką znajomych domów. I Helcię Targowską raz tak proszono, aby z Gorzkowa do hrabstwa w Łopacionku na jakiś bal przybyła, lecz ciocia nie lubiąca egzaltacji hrabianek, ich wiecznych wykrzykników: "och i ach", a pewno i ich swobody obejścia, nie pozwoliła tam córce jechać. Wuj jednak chciał się zrewanżować i zapraszając Gorzków na Rafała, prosił, aby hrabianka Eliza raczyła jego swoją obecnością zaszczyścić, lecz dodał: *jeżeli chudopacholskie progi nie ze niskie na hrabianki nogi*. List ten był wierszem pisany z okazji imienin cioci Jadzi 15 października. Panny się ucieszyły nadzieją tańców, lecz znów hrabina córce swojej zabroniła z racji odmowy Helci. Ciocia Jadzia więc z pomocą babci posłała do Zwoli również wierszowaną odpowiedź, często w owe czasy w ten żartobliwy sposób korespondowano:



Szanowny i kochany szwagrze Dobrodzieju!

Odebrałam dwa bilety,
Od Szwagierka wierszoklety,
A więc od-wierszyć się sadzę
Ale nie wiem, czy poradzę,
Bo moja tępa głowina,
Nic rymów nie przypomina.
Ledwie prozą i to lichą,
Lecz: do rzeczy, o mnie cicho.
Tak braciszku, próżny strach,
Bo hrabianka chociaż "ach!"
Chciała jechać, chęci miała,
Lecz się matka pogniewała,
Za to, że Helcia nie była,
W Łopacionku. Więc niestety,
Same zwyczajne kobiety,
Zapełnią Wasz salon mały.
Oj, będą też tańcowały.
Byle im tylko zagrano
I "wielki piec" przywołano.
A teraz Cię siostra ściska.
I całuje Twe wąsiska.

Jadwiga Rudzka

Na ów bal mama namówiła naszą nauczycielkę pannę Felicję Przyborowską, siostrę literata, wysoką, zgrabną pannę o kruczonych włosach i białych prześlicznych zębach, aby z nią pojechała. Wyszukowała sobie jakieś zielone beryże, białe koronki i diadem z pereł na głowę, w czym jej było bardzo ładnie i wybiera się. Ja i Stefa piszczymy okropnie, więc w drodze łaski, za wstawieniem się ojca, zabierają nas także. Ojciec rzadko jeździł, bo mu zajęcia nie pozwalały. Nasza uciecha jest ogromna, nigdyśmy jeszcze tak dużego balu nie widziały, więc choć droga okropna, wyłazić trzeba nieraz, nic to radości nie zmniejsza i dojeżdżamy szczęśliwie nawet bez wywrotu. Bo przewrócenie kilka razy na paru milach nikogo tu nigdy nie dziwi.

Jeżeli Mickiewicz litewskie łąki poznałby po aromacie, to zapach dymu zalatujący z rodzinnej chaty – wcale nie jest wymysłem literackim. W Świętokrzyskim dym ma zupełnie inną woń jak w innych stronach. Może to z drzewa świerkowego, jakim tu palą, a może z osobliwej budowy kominów, bo na niektórych wsiach, jak np. w Nieskuszowie, na pochyłu jednej z gór leżącej, widziałam komin z tyczek drewnianych, oplecione cienkim chrustem i oblepione gliną, przy każdym miotła na kij do sadzy, a chałupy-staruszki zgrzybiałe od pożarów; widać, mimo takich kominów, bezpieczne. Kurnych chat ja już nie pamiętam, mówiono tylko, że za Wisłą w Galicji to się jeszcze trafiają.



Na przywitanie nasze, co żyje, wysypuje się na ganek. Wuj, galant wielki dla dam, pomaga im wysiadać i mamie dziękuje, że szanowna pani Siostra Dobrodziejka raczyła uwzględnić jego pokorne prośby i nie tylko sama przybyła, ale i tak szanownego gościa (zwrot do panny Felicji) i miłe córeczki (zwrot do nas) przywiozła. Miłe córeczki nie czekają końca oracji, tylko po ucałowaniu rąk wujostwa rzucają się na szyję ciotecznemu rodzeństwu, a nie łatwo jest zliczyć, co raz któreś wyłazi, dzieci kucharki i dzieci Macieja też się blisko kręcą, bo to wszystko nierozłączni towarzysze.

Stara Michałowa stoi za tym swoim stadkiem, które od najpierwszego nianczy, pies Budzisz, biały w brązowe łaty od dzieci nie odstępujący i szara w czarne łatki Wisła kończy personel ganku.

Nigdy nie zapomnę, jak miły to był widok, tych dwojga poczciwych ludzi z tak prawdziwą gościnnością witających przybyłych w ich progi, otoczeni tą liczną gromadką, również jak oni uśmiechających się do gości. Taki uśmiech na twarzy musieli mieć Piast i Rzepicha. Przynajmniej tak mnie się zawsze wydawało. Nie bywało tam takich głośnych okrzyków dziecinnych jak u nas, bo te dzieci były o wiele od nas cichsze, ale każde z osobna i wszystkie razem witały nas z wielką radością. Nie wiem dlaczego, ale niektóre z nich miały złą wymowę, tak że trzeba się było ich słownika uczyć, chcąc coś zrozumieć, np. jeden chłopiec wołając na brata tak się wyraził: *"Tajo, jataty jo tata w otatie"*, co miało znaczyć: *"Karol, Karol, chłopaki rwą jabłka w ogrodzie"*. A jedna z dziewczynek, dosypując malin do króbeczki siostry rzekła: *"Sci ja ci pipaszyja"*, co znów należało tłumaczyć: *"Widzisz, jak ci przysporzyłam"*. I to już spore dzieci tak mówiły. Potem to przeszło i mówią dobrze. Sądzę, że miało to trochę przyczyny w tym, że ludność podgórska gorzej mówi po polsku i ma mnóstwo swoich odrębnych wyrazów, a dzieci z wiejskimi towarzyszami ciągle przestając, uczyły się mówić tak dziwnie. Żartowano z tej sielskości Zwoli, ale kochano ją serdecznie.

Gdy wchodzimy do domu, pierwsze słowo cici było zawsze i nieodmiennie: *"No, co będziecie jedli, bo jest to albo to, czy lubicie?"*, a wuj zaraz; *"A bo to goście z miasta, to przecież zróbcie co delikatniejszego"*. Goście z miasta śmiejąc się zapewniali, że lubią wszystko, bo pięć z okładem mil, ciągle spacer, doskonale poprawiały apatyt. Po obiedzie mama obejmowała zarząd balowy, choć zabawa jutro dopiero, ale dziś trzeba przejrzyć wszystko, czy czego nie brak. Kucharz z sąsiedniego, bardziej pańskiego domu, już jest do usług znany z uzdolnienia, byle mu tylko dawać pełne filizanki spirytusu do legominy (które go nigdy nie oglądały), to już i w Warszawie nie powstydziliby się swej sztuki. Mama oszczędnie mu ów spirytus na kieliszki wydzielala, wskutek tego zmysł kucharski utrzymuje się w przyzwoitej jasności. Sarny, zające, indyki na pośladzie Zwolskim świetnie utuczone, szynki, kiełbasy, salcesony, pozwalają się nie obawiać o apetyt gości. Galarety zaczynają robić, ciasta już są upieczone.

Ciocia zdawszy na mamę osoby, sama przygotowuje poczęstne dla ludzi, o których dba bardzo i furmani na zwolski traktament nigdy nie narzekają. Helcia jej w tem pomaga, bo to już dobrze wyćwiczona gospodyni. Krają całe sterty krajanek sera, kromek chleba grubych na szerokość mojej ręki, dodaje się po kawałku placka i wymierza do wielkiej butli mniej więcej pół kopy kieliszków



wódki. To wstępna przegryzka. A do kapusty już wydana wędzonka, do barszczu kawałek główizny i sadło do kartofli. I ci się głodu obawiać nie potrzebują. Kucharka, wolna od gotowania państwu, zajmuje się ugoszczeniem ludzkiej kompanji. Nam każą pomagać do sortowania nakryć. Nie bagatelna to robota. W każdym z domów okolicznych nakryć dla tylu osób nie było, sąsiedzi więc, jak we wszystkim, tak i w tem pomagali sobie, bez zdziwienia jedzą przez cały karnawał w różnych domach na własnych talerzach, a nie wożąc, jak to dawniej bywało, łyżek za cholewą, przecież swoje przy nakryciach poznawali. Już stały zwiezione całe kosze porcelany, drugie szkła, trzecie – noży, widelców i łyżek, wielkie samowary i rondle także chętnie podróżowały wraz z puszkami do lodów. Wszystko to trzeba było wyjąć, przejrzeć, czy nie uszkodzone, przypilnować mycia, obcierania, by rozmachane Maryśki delikatnie brały w ręce kieliszek, ale, gdy go przy nóżce ścierką zakrecały, kruszył się łatwo w kawałki. Ustawiało się w kredensie, aby były gotowe do podania. Marcin z Gorzkowa nadzór nad tem mieć będzie, pomagać mu będą lokajczyki z sąsiedztwa.

Dom niewiele się balowo odmieniał, ale zawsze trochę. Z salki fortepian ujechał do pierwszego pokoju, będzie muzyka, on więc służyć będzie za bufet dla panów, stać na nim będzie wino i taca z ciastkami. W salce pod ścianami krzesła i ławy, okryte dywanami, kanapa w środku, tylko damy siedzieć będą, bo co młodzież, to ta o krzesła w salonie ani marzyć nie mogła. Lustro opięte bluszczem, świeże firanki, małe kinkiety na ścianach i świec pełno w wysokich lich-tarzach, gdzie tylko je postawić można. Podłoga śliska wywoskowana, a to najważniejszy szczegół. Winem, kartami, papierosami i cygarami zajmuje się sam gospodarz, a i owsem dla gościnnych koni, który własną ręką odmierza do worków i oddaje karbowemu Maciejowi do dyspozycji, a i siana każe nie żałować i pomieszczenie dla czworonożnych gości starannie obmyśla, Maciej, to prawa ręka, poczciwy chłop o miłej zawsze śmiejącej rumianej twarzy z wijącymi się kędziorami ciemnych włosów długo uciętych. Kawalerski to furman wuja, obecnie awansowany na Macieja przy objęciu urzędu karbowego.

Wszelkie pieniądze na Towarzystwo lub do banku on woził i zaufanie miał zupełne. Żona jego została Maćkową po dawnemu, nie zmieniała urzędu, więc i tytułu - do niej należy dozór nad futrami gości w oficynie i pilnowanie chłopaków do usług panom tam przeznaczonych. A jej stara matka Sachadynka wraz z niańką Michałową czuwać będą nad dziećmi państwa, które są na ten dzień z kołyskami do Maciejostwa przeniesione, a i kilkoletnie też tam siedzieć będą, dla gości niewidzialni; lat 10 dopiero upoważnia do przypatrywania się balowi. Dobrze, że my już trochę więcej, niedużo, ale już nas do oficyny nie wsadzą.

Program gotów, spać idziemy spokojnie. Rano powinszowania uroczyste, wuj z godzinę wysłuchuje wierszy wypowiedzianych różnemi, jak wspominałam, narzeczami, panna Marja poprawia jak może, serca rodziców domyślne są bardzo, w lot odgadują, co jaki czterolatek chciał powiedzieć, pocałunek w rękę tatusia udaje się doskonale, za co każde jest pocałowane w główkę i pogłaskane. My podobnym trybem winszujemy wujowi z takim samym zakończeniem. Około południa zaczynają się goście zjeżdżać. Na pierwszy strzał z bata wuj wchodzi na ganek i już mało co z niego schodzi, bo coraz nowych gości trzeba witać - zaniedbanie tego to ciężki towarzyski grzech i wuj go nigdy w życiu nie



popęłnił. Buzi z dubeltówki z panami – *"Kopę lat, kochany Rafale" – "Bóg Wam zapłać, poczciwi, żeście przybyć raczyli"*. Pocałunek w rączki damom: *"Kochany sąsiedzie, dożyjcie wesela wszystkich dzieci" – "Dziękuję i dziękuję Szanownym sąsiadkom Dobrodziejkom i zapraszam na ostatnim do poloneza" – "Ej będzie nam się tam chciało wtedy poloneza, dobrze żebyśmy się ruszać mogli" – "Co tam prawisz" - huknie jakiś bas małżeński – "ty to może, ale Rafał zuch, że niejednego młodego prześcignie" – "a wiesz, Rafale, że ta moja gniada to dziś pierwszy raz w czwórce, a idzie - powiadam ci - jak panna w tańcu. Wojtek, przejeźdź no koło ganku, tylko trzymaj lejce równo w garści i nie zawadź gamoniu"*. Gniada przeszła istotnie pięknie i wszyscy zadowoleni wysypują się do sieni, a potem, do pierwszego pokoju. Obiad się ciągnie długo, wciąż przerywany, talerzy wciąż dostawiają i gdy jedni są przy legominie, inni dopiero od zupy zaczynają. Po obiedzie każdy się idzie ubierać, gdzie może; na godzinne strojenie nie ma czasu, ani miejsca, o lustro wyścigi, a gdy ich nie starczy, cień na ścianie pokaże, czy nie krzywo. Ku wieczorowi ruch się wzmacza, bliżsi sąsiedzi ciągną, krewni, co z dalszych okolic od rana jadą, witań, całusów, uścisków, pewno i czułych uściśnień rączek masa, po takim zamęcie serca radą szczerą okazują ukradkiem.

Ciocia już czarno ubrana wita wszystkich serdecznie, na głowie ma czarny ubiorek, ale mina zupełnie codzienna, najmniejszego zakłopotania, pośpiechu, zmęczenia na twarzy nie widać, choć się napracowała setnie, tylko radość z przybycia gości i uśmiech miły dla każdego.

A gości tych już w każdym pokoju czubato. Mama nasza w siódmym niebie, Najdalej mieszka od rodziny, toteż każde z nią spotkanie to radość nad wyraz, a że bardzo wesola i towarzyska z natury, cieszy się licznie zebranych, a bardzo jej miłymi ludźmi. Z krewnych wuja są trzy siostrzenice: pani Zagórska Walentow ze Stobca z małżonkiem Walciem. Walcio jest śliczny mężczyzna, okazały, elegancki, ale ta elegancja dużo kosztuje i żona zdaje się miewa powody do zazdrości.

Pani Józefa z Lipińskich, primo voto nasza wujenka Wiktorowa Rudzka, a mimo wyjścia za p. Czaplickiego z Buszkowic, w całej rodzinie pierwszego męża Jadzią Wiktorową zwana.

Pani Marja Lipińska przystojna szatynka i z nimi brat, p. Adam Lipiński z Brzezia, Adasiem przez całe towarzystwo wołany, jest dwoje wnucząt wujecznych, p. Jarosław Jaruzelski z Piskrzynia z siostrą Amelią, Melciątkiem ogólnie nazywaną, drobną szczupłą blondynką, a o dziwnie grubym głósie nie licującym z filigranową postacią. Są pp. Julianostwo Reklewscy z Kowalkowic, ona jest bratanką wuja, jest Józio jąkaty Targowski z Jończyc, bratanek, są pp. Targowscy Stanisławostwo z Osali [p. tabl. 112; 113], braterstwo wuja, pan miły, dobry człowiek, ma ogromną gulę na czole, która zawsze nas zadziwia, pani wysoka majestatyczna, brzydka, ale wielkiego wdzięku kobieta. Pan Stanisław jest ojcem pani Julianowej Reklewskiej, a pani jej macochą, teraz mają kilkoro swoich dzieci, najstarszy Staś i Zosia bardzo są starannie wychowani, choć szkoda, że Staś Zosi urodę zabrał. Ze strony ciocie, jeszcze liczniej, Gorzków gromadą, babcia pod swoje skrzydła zwykle zbiera liczne panieństwo. Przewłoka ledwie się dowlekła, bo wuja Albina cuganty w wiecznej drodze nie mają czasu wypocząć.



Ceber oczywiście, wuj Antoś narzeka na głowę i szuka cytryny, którą sam sobie scyzorykiem kraje i do bardzo mocnej herbaty wrzuca. Od tego się zawsze każdy jego przyjazd na bal zaczyna.

A teraz znajomych i sąsiadów czy zliczę? Najdawniejsi tacy, co to w każdej radości czy biedzie, to Majewscy z Starej Słupi, panna z matką i dwaj dorodni młodzieńcy. Dalej Reklewscy Alfredowie ze Skoszyna z dwoma córkami, Wandą nie ładną, lecz pięknie grającą i Lolą, prześliczną dziewczyną, Reklewscy Janowie z Mirogonowic, pani Janowa, bardzo dystyngowana kobieta, miłego układu, baronówna Horoch z domu.

Pan Jan, mówiono, dostał w okolicy 30 odkosów, dlaczego, nie wiem, bo miły i rozumy człowiek i rządny gospodarz, pojechał aż do Galicji i tam otrzymał rękę panny baronówny i miał żonę nie tylko dobrą, ale z wysokim rozumem i taktem, przyjaciółka to z dawnych lat stryjenki naszej Ludwikowej Nowakowskiej z Galicji.

Panny okoliczne pewno potem nieraz swojej prędkości żałowały. Państwo Malczewscy z Truskolas z córkami, rodzice pani Wiktorowej Reklewskiej, pp. Wojciechowscy z Nosowa, z Kielc koleżanki Helci, dwie prześliczne panny Góreckie i już nie pamiętam kto więcej. Z młodzieży: czterech Czaplickich, Janecki z Szelig, Gosławski z Kunina, Wietrzykowski Teodor z Brzezia [p. tabl. 28; 29] itd. A są jeszcze pp. Kobylińscy z Zocheśna z córkami: Karoliną i Marią, pannami bardzo głośno się śmiejącymi i zamaszysto tańczącymi. Młodzież z nimi rozmawiała śmieiej niż z innymi pannami, papa miał głos tubalny, na szerokie przestrzenie w dworku zwolskim rozlegał się grzmotem. Jest p. Zdrodowski, Winnicki, Marjan z "wielkim piecem" stawiał się również, chłopaki jak grosze, pensyjki niewielkie, ale nadzieje duże, a miny zadzierzyste.

Herbatę z wędlinami i ciastem wypito, a tymczasem zmierzchno się już, zapalano światła, a jednocześnie w sieni rozległ się głośny polonez. To Zyle z Ostrowca ze swoją orkiestrą znak daje, że przybył. Zawrzało jak w kotle, młodzież czubów poprawia, obciąga fraki, pakuje na gwałt białe rękawiczki i wyciąga szyje, żeby przez ścisk w pierwszym pokoju panny zobaczyć. Te już spacerują w salce po trzy, cztery, serce im biją w takt poloneza, a oczy mimowolnie skręcają ku pierwszemu pokojowi. Sukienki jasne, świeże, girlandami kwiatów upięte, stroją je ładnie, w salce aż wesoło od jasnych kolorów.

Panie starsze obsiadły kanapy i ławy, i krzesła, potem pójdą trochę do innych pokoi, ale teraz muszą tu być. Suknie popielate lub brązowe jedwabne je ubierają, na głowach ubiorki z kwiatami, u młodszych koki. Jedna tylko pani Alfredowa Reklewska nic nigdy na głowie nie nosiła prócz własnych grubych ciemno-blond warkoczy, po dziewczęciu upiętych, choć już matką dorosłych córek. Zauważyłam, że wszystkie panie szczupłe miały gust do popielatego koloru, a zaś baryłkowate mamunie ubierały się w brązowy jedwab. Do okrycia służyły szale tureckie lub koronkowe chustki. Do figury dla mężatek nie uchodziło, panny miały staniki wycięte, iluzjowe szaliki na gorsie miały ciepła dodawać. Nareszcie *entrée* młodzieży, wuj z Marjanem oprowadzają panów i prezentują damom starszym, potem pannom ukłony, zamawiania do tańców, gdzie oni się zmieszczą?



Zyle łeb łysawy z sieni wytyka, a widząc, że wuj we fraku i białych rękawiczkach staje na środku sali, daje znak swoim żydkom i ci rzną poloneza, a Zyle prym na skrzypcach wiezie. Nie Jankiel to z poezji, ale grać umiał i lubiał.

Wuj zbliża się do matron i podaje rękę pani Janowej Reklewskiej i idzie przodem, za nim starsi panowie cisną się do pań, które idą wszystkie, prócz babci i cioci, a na ostatku młodzież dobija się do panien rada, aby polonez trwał krótko, a po nim walc długo. Polonez zatacza kołem po salce, zakręca, idą odbijanego, a gdy każdy do swojej damy wraca, odprowadza ją z głębokim ukłonem na miejsce, o ile jakie jest, muzyka przechodni do małego pokoju przy salce i teraz już bierze ostro smyczki w garść, bo wie, że to do białego dnia.

Zaczyna się walc, którego grają od paru lat, lecz cóż to szkodzi, takt ten sam, a wprawa jeszcze efektu dodaje.

Chłopcy w miejscu nie dostoją, bo znów wuj podchodzi do której młodej męzatkę i puszcza się z nią walca. A tańczy doskonale i lubi bardzo ten siwiejący drobny mężczyzna, ten zapracowany gospodarz, ojciec tylorga dzieci, w kole towarzyskim przeistacza się w eleganckiego tancerza, pełnego uprzejmości dla dam, grzeczności dla panów, miłej zachęty dla młodzieży. Ciocia sobie wśród tego chodzi zwyczajnie, ale wuj jest balowy zupełnie. Gdy skończył, usuwa się na bok, a wodzirej rusza z całą kawalerią do ataku. Tak zuchwałego koła trudno sobie wystawić dzisiaj, gdy tańce nie idą, lecz leżą, i gdy dopiero szampan po kolacji życia dodaje. Tańczono wtedy walca na dwa pas, galopadą na trzy tempa, tylko starsi tańczyli lub ci, którzy wyjątkowo popisać się chcieli. Tańczyli wszyscy doskonale z zapałem od pierwszego taktu do ostatniego, po walcu dość długim szła polka, później kontredans na kilka zmian, bo par 30, po nim z szufladek robiła się galopka, koła latały jak maszynowe, koszyczki plotły się, rozplatały z szybkością błyskawicy, tylko w *grande chiene* zawsze coś poplątano. Wodzirej (był nim Michał Rudzki zwykle) krzyczał w głos, poprawiał, nawracał, wiązał, a gdy i to zawodziło, grzmiał z całej piersi: "*galop wszystkie pary*". Cudownie rozumiano od razu i puszczano się w taki wir, że panie spod ścian wynosiły się po trochu, ocalając odciski, zmęczone panny na ławach odpocząć. Konwersacja się zaczynała, przypatrywano się sobie dyskretnie, wybierano, przebierano, każdy zaczynał rozumieć, z kim mu najlepiej będzie szła zabawa. Trwa to niedługo, bo czasu szkoda. Zyle ucina parę taktów mazura.

Trzeba wiedzieć, co się wtedy dzieje. Jakby iskra elektryczna przeleciała po wszystkich, oczy błyszczą z ożywienia, znika salonowa młodzież, zostają żwawi chłopcy, gotowi krzesać w podkówki i bić hołupce siarczyście, panny cóż, te strojne w tarlatany, ale oczy im się śmieją na dźwięk tańca, tak jak tym, co noszą gorsety sznurowane w pręgi. Pary łączą się szybko, dobierają i na okrzyk: "*Mazur, wszystkie pary, a z życiem*", puszczają się po sali z taką energią zamaszystą, tak dziarsko i zręcznie, a butnie prowadzi pannę młodzieniec, a ta lekko się koło niego okręca lub sunie, takie wesele roztacza wokół ten taniec, iż znać, że ci, co go tańczą, mają jego takt we krwi i duszy.

Wszystkie to dzieci bujne sandomierskiej ziemi, osłuchani z melodią, odkąd żyją, uczyć się mazura nikt nie potrzebuje, każdy go nerwami wyczuwa. To taniec chłopski do salonów przeniesiony, ale już samo dowodzi, jak dalece on jest narodowym i tylko przez wolny naród mógł być wymyślonym. Jego żwawość i



wesołość zadają kłam tyle w ostatnich czasach głoszonemu ciemństwu ludu; nigdy ciemżeni nie byli weseli, wszędzie żal i smutek w pieśniach dźwięczy. Przypuszczamy, że tańczony przez szlachtę, nabył jej cech śmiałości i energii, ale wesołości by ona stworzyć nie mogła, a wesołość ta jest główną tańca tego cechą i to cechą tak oryginalną, że wprost dla innego narodu nie do osiągnięcia. Taki taniec może się z narodem urodzić i z nim zginąć, w spuściźnie go nikt inny wziąć nie może, bo nie jest w stanie odczuć akcentów, które w nim pulsują. Długo się ciągnie, dobór figur to chluba wodzireja i miara jego tanecznego talentu, Michał dzielnie prowadzi gromady, jest wysoki, widać go łatwo, głos ma stanowczy i dobre pomysły. Dobierane, kwiaty, młynki, ulubiona krakowska figura idą kolejno, choć par tak dużo, wszyscy ciągle tańczą, bo się ciągle wybierają, przy czym się uwidaczniają różne sympatie. Młodzież często rzuca rublami muzyce, a co bogatsi, to i trzyrubłówki cisną zgrabnie nad muzyką, a wprawni Lejbusie w lot je chwytają, nie przestając grać, owszem jeszcze ostrzej idą smyczki. A po innych pokojach nakrywają stoły i gospodarz wchodzi prowadzić damy do kolacji, starsi panowie odnajdują swoje partnerki polonezowe i podają im ręce z ukłonem, młodzież się trzyma porządku par mazurowych. Siadają starsi w jednym pokoju, młodzi w drugim, a jest jeszcze dużo takich, dla których stoliki stawiają do pierwszego pokoju, najmłodsza młodzież tam siada.

Marcin, lokaj Rudzkich, dogląda kilku młodych chłopaków posługujących i Zwolskie Marysie też pomagają, wreszcie goście sami sobie usługują, a już co pannom, to na wyścigi.

Jedzą, rozmawiają, a pan Alfred Reklewski herbu Gozdawa, o którym ojciec nasz mówił, że go zmienić powinien na Doliwa, toasty wznosi, więc zacnego, kochanego solenizanta, jego najzacniejszej małżonki, za co wuj pełnym dziękuje, a ciocia tylko się kłania, potem babci Rudzkiej z rodziną, za co znów wujowie pełne łykają, potem rodziny Targowskich wszystkich, a więc ilu ich jest, spełniają kielichy, potem toasty familjami, wspaniałe huczne zdrowie dam z okrzykami "Wiwat", później młodzieży. Wuj wznosi zdrowie kochanych gości, a na koniec Sandomierskie "Kochajmy się!", co jest hasłem wstawania od stołu.

Kucharz wstydu nie zrobił, potrawy były, że palce lizać, kremy stały jak mury, a zwierzyna i indyki miękkie były i kruche. Gospodarstwo bardzo czujni na wszystko, siostry i dzieci starsze im pomagały, iżby nikt bez zapraszania nie został.

Pocziwy Marjan kazał grać muzyce, a i dobrowszy paru młodych chłopców, zaciągnął nas do sali i wytańcowałyśmy się przez cały czas kolacji, a było nas 6 równolatek, użyłyśmy więc i my balu bardzo dobrze i bez takiego jak starsi ścisłu, a chłopcy sobie potem kolacji wynagrodzili.

Za oknami stała cała wieś i z bliskich chałup i z dalszych kolonii, a chłopci mówili: "*O jak to nas Maniuś ula*", albo "*jak to nasza Helcia wywija*". Czasem zmieniała na pan Marjan i panna Halina, ale rzadko. Gdy się rozległo "*kochajmy się*", furmani dali salwę ogłuszającą. A jak to wszyscy lubili. Im głośniej i dłużej strzelali, tem sutszy był podarek na wódkę. Palili też raz za razem, bo przecież umyślnie na to nadwiązali nowe trzaskawki u batów.

Na koniec wszystko wstaje od stołów i na rozgrzanie idzie ostry galop, potem spokojny lansjer, często ze zsyłkami, bo to trudny taniec, później długo walc,



polka, mazurka, kontredans i biały mazur, bez końca, do świtu, przerywany oberkiem, tańczony przez niektórych prześlicznie. Lecz wyprawiono nas spać i dopiero przy śniadaniu zobaczyliśmy towarzystwo, już częściowo zmniejszone do samej tylko rodziny.

Przy śniadaniu jak w ulu, uroczystość balowa pierzchnęła, panny ubrane już do drogi, młodzież, sami kuzynowie, powinowaci lub ci, którzy mają już niejaki prawa towarzyszyć pannom z powrotem.

Wesołość ogólna, ani znać, że tak pracowali noc całą, ale najglówniej ani znać całego balu na cioci. Już w swojej zwykłej siemieniatce stoi przy olbrzymiej wazie, rozlewa na talarze barszcz, kraje kielbasę, częstuje bigosem, tak jak co dzień, bez cienia zmęczenia na twarzy, pogodna jak zawsze i spokojna jak zawsze. Dzieci się poschodziły do Maćkowej, inne poprzynosili, zapoznają się z familją, Michałowa prezentuje swych wychowañców i wychwała każdego przymioty, ciotki je całują, a wuj Albin przekomicznie wyucza się ich imion na palcach u ręki. Ciocia się śmieje i mówi: *"Lepiej byś i ty miał z kilkoro, nie jedy-naczkę Cesię, to byś może prędzej w domu przesiadywał"*, za co wujenka pełnym aprobaty wzrokiem na ciocię spojrzała.

Wuj już na gumnie; pożegnał wszystkich na ganku, śpiewał do nich, oni do niego, lecz gdy rodzina tylko została, przeprosił ją elegancko i poszedł do zwykłych zajęć.

Gorków odjechał po południu, my zostałyśmy do jutra, bo mama cioci pomagała doprowadzić wszystko do porządku, pakowało się wszystko na powrót w kosze, zachodziły wozy w deskach i rozwoziły pożyczone rzeczy z paroma grzecznymi słowami, jakimi wuj za przysługę dziękował. Wody wracały w swoje koryta, praca obejmowała swoją dziedzinę, z której na chwilę ustąpiła zabawie jako godziwemu wytchnieniu ludzi, którzy na nie uczciwie zasłużyli.

Taki bywał zwykle święty Rafał w Zwoli.

Imieniny cioci miały zupełnie inny charakter. Osób bywało wprawdzie mniej, ale za to bywały to już najbliższe serca.

Pogoda zwykle przecudna, wrześniowa, to czarująca jesienna pogoda tyle przez poetów opiewana, a przez zwykłych ludzi tak bardzo lubiana. My osobiście wołałyśmy imieniny cioci od wujowych.

W ogrodzie tak miło, ciepło, rozkosznie, owoców, że ani przejeść, a już spod jednej gruszki "pluskiewki" nie wychodziłyśmy prawie. Nazwa szpetna, jak to dziś uważam, ale drobne gruszcзки były doskonałe, a ilość ich wprost nie do wiary.

Nie znałyśmy wtedy wcale prawdziwych pluskiew, więc nam to apetytu nie psuło. Te stworzenia spotkałam dopiero w Gubernialnym mieście, Radomiu, zajmując mieszkanie po rodzinie, po eleganckiej rodzinie, mającej pluszowe meble i strojne na ulicy panny.

Całe towarzystwo za naszym przykładem zabawiało się w ogrodzie do późna, różne grupy tworzyły się pod lipami, spacerowano, rozmawiano, patrząc na wspaniały widok na górę Świętokrzyską, huściano się trochę, a dzieci uwijały się to tu, to tam, ale pełno ich było wszędzie.



Panowie oglądali konie, które wprowadzano na wielki gospodarski podworezec lub szli do źrebiąt na okólnik.

Dopiero, gdy się wieczór zbliżał, towarzystwo się łączyło około największej półkolistej ławki drewnianej pod lipami.

Wuj Albin był zawsze niewyczerpany w wesołych opowiadaniach i żartach, nikt się nie obrażał o nic, bo wszyscy byli do nich przyzwyczajeni: *"Wiecie co, może byśmy się tek zabawili w zabawy ludowe, tak tuturyku z górki na pazurki, panno Felicjo, służę pani"*. Panna się roześmiała i odrzekła, że pierw popatrzy, jak się jemu uda. I kilku kuzynków z wujem na czele zaczęli próbować, ale w Zwoli spadek z góry na dół, z ogrodu do łąki, jest dość ostry, ani się spostrzegli, jak naprawdę tuturykać się zaczęli, coraz prędzej i to tak, że o zatrzymaniu ani mowy nie było. Śmiech z góry towarzyszył tej niespodziance, z której wrócili z gałęziami we włosach i trawą na ubraniu. *"Nie wiecie co, to już nie dla mnie, ale mali popróbujcie."* Małym nie trzeba było powtarzać, wprawni byli w tem niepomiernie i dalej koziołkować z góry, a wuj rzucał za nimi gruszkami, które tamci już na dole chwyтали.

Stworzyła się zupełna "Bękawka", a wuj z dziećmi tak się pysznie bawił, jakby sam był nie wiele starszym. *"Dajcie no arkuszy, gazety"* - woła na pierwszoklasistów i kandydatów na tychże. Przynoszą w mig całą pakę. *"Widzicie, robi się tak, składa się taki kawałek papieru, aby twardo w strzałę, tak, i jeszcze raz tak, rozumie się, aby twardo."* - "Rozumiemy" - wołają chłopaki, którym aż oczy błyszczą, do nowego figła. *"A teraz widzicie, macza się strzałę w atramencie, ot tak, tu go nie ma, ale to nic, a potem prosto w nos profesora, a sam pod ławkę, pamiętaj, żeby cię nie złapali, bo byś był osioł"*. I wuj tak celnie na dość daleki dystans puszcza tę papierową strzałę, że ta godzi w nos Karola, piątoklasistę, którego dla powagi profesorem nazywano.

Cóż było radości z tej edukacji, chłopaki zwijali gorączkowo te strzały i rzucaли naprzód na siebie, a potem zachęceni przez wuja - i na nas. My zaczęłyśmy uciekać, oni nas gonić, wuj nimi dowodzi, my się bronimy, wyszła istna batalia, którą się wybornie bawił inicjator i wołał: *"No już możecie iść do szkół, boście egzamin doskonale zdali"*. Nie było to zbyt pedagogiczne przygotowanie, ale wesoło ogromnie, wszyscy wiedzieli, że wuj był pierwszy urwis w szkołach i do wszystkich figłów gotowy, ale uczył się doskonale i dwie szkoły skończył. Wujenka trochę kręciła głową, na tę i tem podobne pustoty kochanego Albusia, ale musiała się śmiać z drugimi. Najwięcej cierpiał żartów Antoś Gawroński dla swego małego wzrostu. Wuj, sam wysoki, dworował sobie chętnie z małego, a obraźliwego z tego powodu szwagra. I ciocia Helcia bywała tem dotkniętą, Antoś nosił olbrzymie obcasy, konno jeździł jak rycerz, ale jak był małym, tak został i często go głowa bolała.

Wuj zdrów zawsze jak ryba, śmiał się zawsze z papinków i teraz gdzieś w krzakach odszukał Antosia, leżącego na trawie z poduszką pod głową, wypoczywającego po 3-ch milowej drodze. Wraca i opowiada: *"Moi drodzy, znalazłem poduszkę w ogrodzie. Patrzę na rożku, coś się kręci, strząsam, a to Antoś"*.

Gdy po i ich ślubie Antoś miał dopiero stawać do wojska i wybierali się oboje z cicią do Warszawy, wuj Albin do cioci: *"Nie martw się Helciu, pójdzie do gwardji i ani się spodziewasz, jak będziesz jenerałową."*



Z owego czasu i my pisałyśmy list do babci za dyktandem ojca: *"Ciocia Helcia tam pewnie w Warszawie się kłopotce, bo słyhać, że pana Antoniego mają brać do granadierów"*. Z początku się obrażali oboje, ale potem musieli się pogodzić z tego rodzaju przymówkami, bo wysokiego wzrostu mężczyźni radzi konceptowali z małego.

Ale gdy się toczyła poważniejsza rozmowa, trzeba było posłuchać, jak wuj Albin mówił pięknie, ile rzeczy wiedział, ile widział, ilu ludzi znał, w ilu zdarzeniach uczestniczył, we wszystkim, co kiedy w kraju się działo, brał udział, na wszystkie zebrania, wybory jeździł, interesa doskonale rozumiał, a opowiadał tak zajmująco i zawsze tak dowcipnie, że się zawsze koło wuja zbierała galerija słuchaczy. Pióro miał bardzo gładkie, a jego artykuły ostre o regulacji Wisły i wylewach, na których jego Przewłoka i sąsiednie wsie bardzo cierpiały, sprawiły, że w Petersburgu wysłano usilną komisję, aby rzecz zbadała. Pomimo zbadania rzeczy idą po dawnemu, lecz wuj ma zasługę, że dzwonił na alarm i bardzo wymownie. Niepospolicie zdolny człowiek, ale za towarzystwem w piekło by poszedł, co oczywiście żonie nie dogadza.

I dziś tu prawi z ożywieniem. Wszyscy słuchają i dopiero gdy obcy goście - nadjeżdżać zaczęli, już dobrym zmierzchem kompanja weszła do domu. Herbata, po herbacie mama nasza zaczyna grać do tańca, wuj Rafał we fraku, jak zresztą i wszyscy panowie, rozpoczyna zabawę walcem z którąś z pań mężatek starszych, ale jeszcze walczących. Po nim już zabawa idzie zwykłym trybem, mniej par to się wytańczyć mogą.

Stroje skromniejsze, ale zawsze ładne, imieninowe. Jedna z dam, już koło czterdziestki, w długiej jedwabnej sukni i koku czarnym z drobnych loczków, zdradzała wielką do płaśów ochotę.

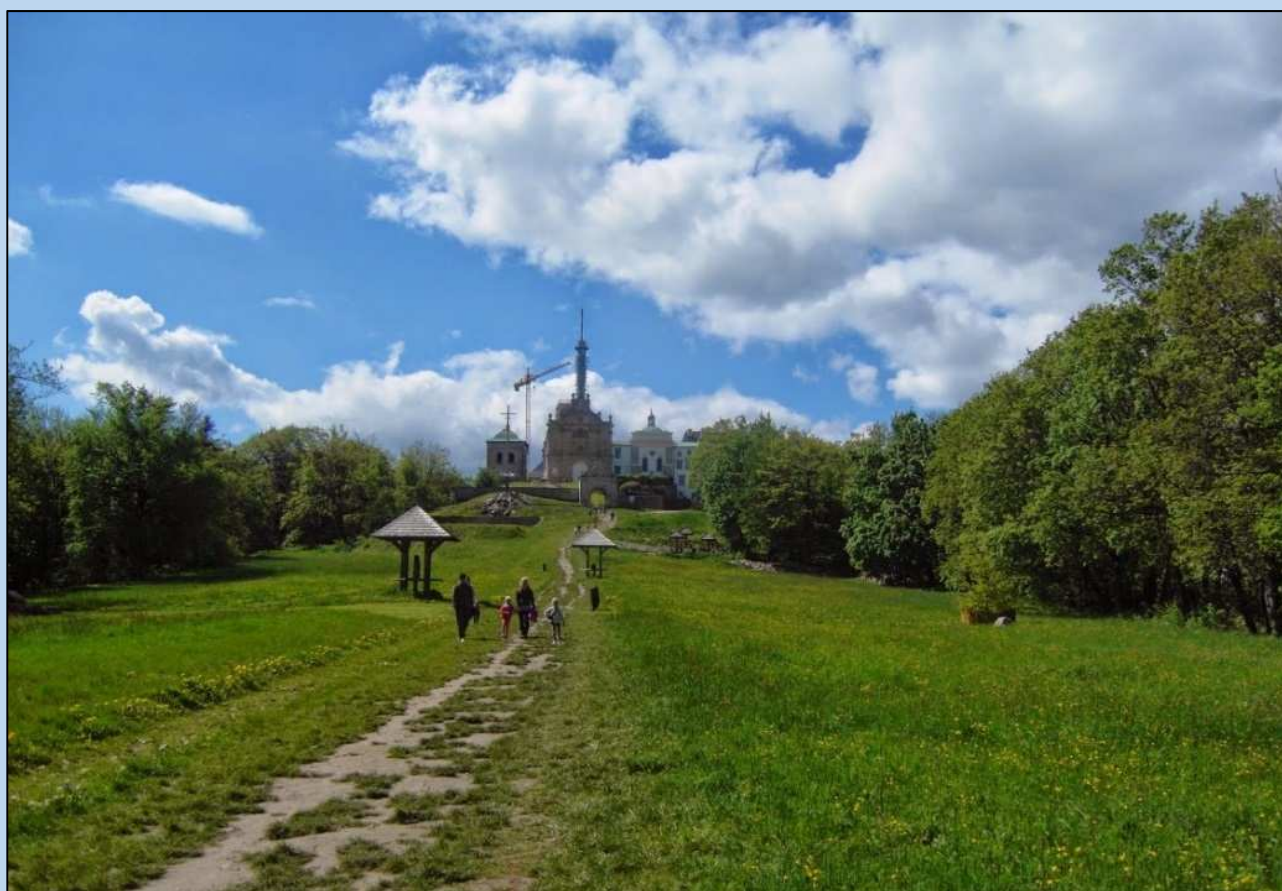
Młody jakiś człowiek mówi do sąsiada: *"Weź no ją do tańca i obracaj, a ja się będę patrzył, jak się to cudadło na głowie będzie trzęsło"*. I z tej przyczyny, której się nie domyśla jejmość, wytańczyła się doskonale, bo chłopaki dla figli, dzielnie ją wytrząsali.

Mamę wyręczali państwo Malczewscy, a nad ranem wuj Albin, który skończywszy wista, przyszedł do salonu i ofiarował się za pomocą, grając dobrze i wprawnie walce i mazury. Uczył się i grał dobrze na skrzypcach, lecz potem zarzucił, a na fortepianie grał ze słuchu i bardzo się przydawał na tańczących wieczorkach, bo silna ręka takt zaczynała dobitnie. W antrakcie gra jakąś improwizację z wariacjami tak drącą uszy, że wszyscy zapytują, co to jest? *"Jak to? - nie poznajecie, ach, jacy żeście niemuzycalni - to wyjątek z najnowszej opery: <Wyją wilcy za górami>"* i przechodzi na nowo w mazura.

Świta już, wszyscy rozbawieni, ani myślą o wyjeździe. Panowie formują marymoncką figurę, ciocia krzyczy, że nie pozwala, bo w niej łatwo o ciężkie rozbicie, ale wuj Rafał marymontczyk, wuj Albin także, któryś z panów też, lubią tę figurę i wołają: *"Niech młodzi pokażą, czy potrafią tak jak myśmy ją tańcowali."* Co prawda ciocia pamięta, jak to przed powstaniem wino się pijało gąsiorami, nie z butelek, i do tej figury przychodziły nad ranem dobrze chwiejne nogi i zawrócone głowy. Teraz nie ma obawy, wina tyle piją, ile w tańcu konieczne i młodzież z okrzykiem: *"cóż to, my nie zuchy?"* staje w koło. W tej figurze, nie wszędzie tańczonej i zwykle tylko na mniejszych zabawach, wszystko



polega na sile rąk 8-miu silnych mężczyzn jednego wzrostu, biorą się mocno za ręce: 4-rej stoją, a 4-rej kładą się nogami do siebie w krzyż tak, że tworzą jakby szprychy w kole. Stopy opierają mocno *vis-a-vis* i tak wiszą wyprostowani w powietrzu trzymani przez kolegów i tylko obcasami dotykając ziemi. Stojący puszczają się w ruch i szybkim pędem obracają się w koło około osi z leżących postaci, które wirują jednocześnie, zamiatając podłogę połami fraków. Potem zamieniają się błyskawicznie i ci co stali, leżą, a tamci znów koło kręcą tak, że nawet siedzącym, patrząc na to, zawraca się w głowie, po czym zrywają się gwałtownie, tupią, a robiąc szybko krzyż, obracają się kilka razy i każdy przed swoją damą staje, mazura zakańcza popis. Długo tu o tem piszę, a rzecz dzieje się w minutach, męcząca to figura, ale ją tu wszyscy lubią bardzo, bo wykazuje siłę i zręczność. Nareszcie, gdy już słońce dobrze świeci, figura tak zwana: "Uczczenie domu", polegająca na tym, że całe grono taneczne łączy się w węża, a wodzirej prowadzi kilka razy latającym pędem po wszystkich pokojach w kółko, budząc pospane na sofkach dzieci i zawadzając o różne krzesła i ławy. Stanąć nikt nie może, bo przewodnik leci jak szalony wołając: "Dziś, dziś, dziś". Bywa jeszcze "przepióreczka", którą także lubią wszyscy i zwykle za widna już tańczona, potem śniadanie, potem jeszcze mazur, damy już się ubierają i nieraz je z sieni w płaszczach i kapeluszach sprowadzają do salonu, kłękają, proszą, aż zmiękzone, stają już w tych strojach do oberka, który tańczony prawdziwie szalenie, zakańcza imieniny. Obcy wyjechali, a dla domowych zachodzą wozy czterokonne i jazda na Święty Krzyż.



Ranek prześliczny, wycieczka wymarzona. Jadą oczywiście wytrzymalsi, lecz takich jest dużo, a i ci, co zostają, pewno spać nie będą.



Na kamienistej z wybojami drodze zęby ognia dają, furmani powożą stojąc i palą z batów, a towarzystwo, o ile może, wyciąga śpiewki, lecz kurz gardła zasypuje i języki się przycinają. Na górę ostry marsz bez odpoczynku trwa godzinę, idąc wolniej, półtora potrzeba, ale co za powietrze na tej wysokości, świerki tak poważnie szumią, kamieni moc, wuj Albin opowiada, że to były szanice w powstaniu i kopce, z których w tę wielką manifestacyjną procesję z całego kraju, kaznodzieje mowy do tłumu miewali. Przy początku góry stoi znana figura kamienna pustelnika, jak ją tu nazywają; ma się ona posuwać co rok na makowe ziarnko, gdy do wierzchołka dojdzie, świat się skończy.

Wuj doszedłszy do niej z patosem wykrzyka: *"Patrzcie, jak śmigła, jakem tu był w zeszłym roku, to stał z tamtej strony płotu, a teraz już tu przeleciał"*. I była to zupełna prawda, tylko, że nie pustelnik, a płot się przesunął, ale jak wuj to komicznie mówił, to nie podobna się było nie śmiać.

Na górze odpoczynek, trochę się spaceruje po ślicznych miejscach, znają je wszyscy i lubią wszyscy. Każda panna w Sandomierskim musi tu być choć raz, inaczej za męża nie wyjdzie. Czasem się trafi, że i tak nie wyjdzie, ale przynajmniej nie ma sobie nic do wyrzucania, jedynie los. Schodzą się do koszyków, przy których panie więcej zmęczone zostały z wujem Albinem. Rozpakowują: *"A gdzie kurczęta?"* - rozlega się okrzyk: *"Ach bójcie się Boga! Tyle czasu gdzieś chodzicie, że się doczekać nie mogłem, schudłem jak cięciwa z głodu i wzięłem tam jakieś skrzydło, ale może nogi zostały?"* Co miały zostać, znamy wuja apetyt, schrupał kilkoro. My się kontentujemy jakąś pieczeńią i chlebem z masłem, liczymy na obiad. Nie mamy do wuja urazy, bo pysznie figle opowiada, jada zawsze dużo, a łakocie lubi zawsze po dziecinnemu. Kto z tortów zjada przybranie? Wuj Albin - z bab i mazurków także, a poczęstowany cukierkami nie bierze po jednym, tak jak my, dzieci, tylko przechyla pudełko i całą garść wysypuje na rękę i w usta, dowodząc, że gryźć po jednym, to szkoda fatygi i smaku się nie doje. Wujowi jednak wolno, nam by to nie uszło. Funt karmelków zjeść na jedno posiedzenie, to zwyczajna dla niego sztuka.

Do dziś zachował tę ruchliwość i żywość. Teraz w czasie wojny, czynny jest bardzo, jeździ ciągle, służy w różnych komitetach, a gdy dostał kaszlu, dziwi go, skąd mu się teraz jakieś defekta przyplątują. Lat 73 znosi ze zdrowiem i humorem, mało co od dawnego różnym. Po posiłku zwiedzenie kościoła, jak zwykle, ucałowanie relikwii, jak zwykle, odwiedzenie księdza, też jak zwykle i marsz na wieżę.

Jeszcze nie był wtedy klasztor zajęty na więzienie, pustka była, ale miłsza niż później, śpiewy zbójców wyglądających z za krat. Z wieży widok cudowny, cóż z





tego, że znany tak dobrze, ale nigdy go nikt dosyć się nie napatrzy, osobliwie przy takim ślicznym ranku.

Opowiadają, że tu schronił się powstaniec, a ścigany przez moskali, którzy się na wieżę wdzielali, osunął się z niej po drucie piorunowym, pozżynał sobie ręce do kości, ale ocalał i nikt go nie wydał.

Schodząc znów, biorą się za ręce w węza, że to niby lepiej na wąskich krętych schodach, ale Michał idący naprzód, tak ciągnie prędko, że mało nóg nie połamiemy, pędząc z góry i w końcu ktoś rozrywa węza, wołając: *"Kręćcie sobie sami karki, jak chcecie"* i już spokojniej schodzimy na dół. Robi się ciepło, lasem iść prześlizgnie, a że z góry, więc dużo lżej. Wracamy akurat na obiad, po którym rozjazd ogólny. Mniej więcej tak obchodzono zawsze Świętego Stefana w Zwoli.

Lata płyną dzieci rosną, do Helci konkurenci jeździć zaczynają, aż na Nowy Rok 1878 wraz z życzeniami od wuja Rafała przychodzi wieść, że Helcia po słowie z panem Gustawem Foltańskim z Brzeźna Kieleckiego i wesele będzie dnia 27 lutego w końcu karnawału. Już trochę o tem wprzód słyszeliśmy, lecz urzędowa forma teraz przybyła. Rodzice rozmyślają, jak też to Helcia trafi, bo lubią ją bardzo, jak też i wszyscy. Wiemy, że tam bywał pan Aleksander Wietrzykowski z Cerekwi [p. tabl. 16; 17]: o tamtym nic nie wiemy, jaki? co wart? Lecz małżeństwo zawsze jest loterią, dużo przegranych, wygrana rzadko, zresztą ojciec dodaje: *"Trzeba coś i Panu Bogu zostawić, my nic nie wymądrujemy, ale szkoda by było dziewczyny gdyby zmarniała za jakimś gałganem, a Rafał sam poczciwy i łatwowierny, i na szlachectwo łatwo się bierze"*.

Niestety takie pojmowanie szlachectwa jak wuja już kursu u młodzieży nie miało, lichota się często trafiała, ofiarą padały, dobre, miłe i pracowite dziewczęta, które w poczuciu obowiązków chowali, gdy tymczasem chłopcy musieli wyszumieć, *"młodość musi szumieć"* i tem podobne aforyzmy wygłaszano, rezultatem były gromady utracjuszków i próżniaków.

Maciej z tem listem przyjechał, z mamą konferencja: *"Macieju, cóż o tem kawalerze myślicie, podobny on do czego?"*

Maciej kłania się do ziemi i mówi: *"Proszę Wielmożnej Pani na urodę i ta nie duchem, chodził by nasy Helci ładniejszy, ale tak to rozmowny pan i grzeczny, kunie ma piękne, cztery białe jak jeden, no i furman gada, co ta wioska, choć dzierzawna, ale w dobrej ziemi pod Jędrzejowem, łąki piękne, siana dość, ojcowie mieszkają niedaleko, pono zamożni, go nieraz wspomogą, siostry dwie już wydane, ino jedna i dwóch braci przy ojcach, ale kto to może zgadnąć, co w nim siedzi; Ot, szkoda mi było chrześniaczki, gdyby źle pójść miała, nie daj Boże"* - wzdycha Maciej - *"dyć to całej wsi ulubienie ta panienska niech jo ta Bóg broni od złego, ale wola Boska, sązonego koniem nie objedzie"*.

I nie objechał, Helcia źle trafiła, gadać to umiał i bawić się umiał, kobieta ciężko pracowała. Umarł wcześniej i ją zostawił z sześciorgiem dzieci w ciężkich bardzo warunkach.





Na dwa tygodnie przed weselem przyjechała Helcia z ciocią prosić na swój ślub, już prawie dwa tygodnie tak jeżdżą z zaproszeniami i żegnaniem.

Panna młoda u całej rodziny być musi koniecznie przed ślubem. Helcia jest dosyć kontenta, opowiada, że pan Gustaw oświadczył się rano i został przyjęty, a pan Aleksander przyjechał po południu na swoje oświadczyzny, dostał odpowiedź, że za późno. *"A może byś ty go była wolała?"* - pytamy. *"Bo ja wiem? Może i nie jest przystojniejszy, ale nie umie tak rozmawiać"*. No i tyle, a gdzież tu jakieś zakochanie, o którym się czyta w książkach, tak sobie piszą, aby było co czytać, a w życiu idzie wszystko inaczej.

To było przekonanie, które się w mojej piętnastoletniej głowie wyrobiło i nie zawiodłam się na nim. Czytałam masę powieści w życiu i wiem, że żadna naprawdę życia nie chwyta. Wyprawa się kończy, dużo jest poszyte, trochę proszą o dokupienie w Radomiu, w Kielcach też dużo rzeczy robią.

"Moje droga ciociu, niech ciocia z Janią przyjadą wcześniej w niedzielę, ślub w środę, a trzeba, żeby ciocia sama zobaczyła, czy wszystko dobrze. Przyślemy konie w sobotę, żeby ciocia mogła w niedzielę rano wyjechać."

Co tam mama z ciocią mówiła - nie wiem - ciocia nie miała miny zatrwożonej, tyle panien idzie za mąż, jej córki także na to rosną, a wszystkim Bóg kieruje. Odjechały i trzeba było myśleć o ubraniu. Mama miała czekoladową jedwabną suknię, ale ja nic i gorzej, bo mama nic kupować nie myśli i mówi, że jeszcze dla mnie nie pora na balowe suknie i jeżeli chcę jechać, to w swojej popielatej, alpagowej. O jej! Wesele ciotecznej siostry, a ja mam nie jechać? Tem bardziej, że mnie gardło tej zimy jakoś nie boli. A znów mama jak nie zechce nic kupić, to ja na to nic nie poradzę, trzeba coś obmyśleć. Helcia, to przecież już wnuczka babci i idzie za mąż, jest to najstarsza z wnuczek, ale za parę lat to i na nas kolej przyjdzie. Gdy ciocie szły, byliśmy małe i tylko nas cukrowa kolacja obchodziła, ale teraz trzeba się przyjrzeć, jak to ten narzeczony wygląda, choć ma tyle siana i pięknego, ale jeśli brzydki, toć przecie Helcia siana jeść nie będzie, a na brzydkiego znów co dzień patrzeć....

A może głupi, to już najgorzej, tatuś mówi, że nie ma nic gorszego, jak głupi mąż lub żona.

Helcia jest mądra i dobra bardzo, a on?, ale nie... to przecie Maciej mówi, że grzeczny i Helcia potwierdza, że rozmawiać umie, może też jej dobrze będzie w tem Brzeźnie, szkoda tylko, że to tak daleko za Chęcunami, aż gdzieś pod Jędrzejowem.

Tak sobie rozumię trochę głośno z panną Felicją, która się z tego śmieje, a trochę po cichu, bo szczerze, bo mi żal Helci dobrej było.

Ale jak mamy jechać, to się za tę sukienkę wziąć trzeba.

Niedawno były moje imieniny, dostałam od tatusia 5 rubli, ta suma będzie na jaki przystrój, bo na nową sukienką nie wystarczy, a mama na nową nie chce się namówić. Stefa jest w Gorzkowie i razem z nami na wesele przyjedzie, a my ją do domu zabierzemy.

Ale w czym ona będzie, ma z sobą dwie ciemne sukienki, a w domu żadnej jasnej, co ona włoży. Babcia jej tam co wyszykuje; Albo to mało w szafie sukien ciotek, w których już nie chodzą, na tyle balów? To się tam coś znajdzie, odpowiada bez frasunku mama.



Mój Boże, babcia jej tam pewno coś ładnego robi, bo babcia majster, ja tu sama o sobie myśleć muszę ...

Lecz ubieram zawsze tyle lalek, trzeba siebie spróbować stroić.

I z pomocą panny Felicji pruję sukienkę popielatą, Janowa ją pierze porządnie i prasuje, alpaga po praniu jest zupełnie jasna - bardzo dobrze - o to jej chodzi.

Szyjemy ją na powrót jak była, zupełnie mi to dobrze idzie, kiedy gotowa, kupuję sobie w Iłży u Nuciny dziesięć łokci wstążki pąsowej w rypsie w dobrym gatunku, robię kokardy, podpinam nimi tunikę, do stanika robię drobne pensowe guziczki, dół sukienki garniruję białą batystową falbanką i staje toaleta, która mi się wydaje strojną, oczywiście dla braku porównania. Panna Felicja mówi, że całość bardzo świeżo wygląda i na moje lata aż nadto. Co to nadto w moim wieku, jak się to już stroją! Widziałas w Radomiu sukienki kuzynek na kinderbal, ale niech tam, wieś to tam tak nie uważa, zresztą nie ma innej, a i to mnie cieszy, że sama sobie to wszystko zrobiłam, a wszyscy mówią, że ja tylko książki i książki, a roboty nie lubię, naturalnie jak każą zszywać takie dłubie prześcieradła, wierzchem, tak jednostajnie nudne albo bryty i stany do koszu, o to nie cierpię, a jeszcze w gorącu omdlewam nad tem szyciem. Ale stembnować bardzo lubię i umiem prawie jak maszyną. Dziergać, wyszywać, fartuszki kraje i szyję zgrabne, żabociki, krezki, pończochy jako tako ceruję, czego oni ode mnie chcą? Jak się za mąż pójdzie, to choć na to dobrze, że nikt nie gderze, ale znów kłopot z tymi dziećmi, ciągle któreś chore, co to mama się o nas nabo, a najbardziej o mnie, bo też to gardło mnie boli i boli.

Mój Boże. ile mnie to balików ominęło przez to gardło, ile różnych wizyt, wyjazdów, Stefa to ciągle jeździ, to z ojcem, to z mamą, tyle ludzi zna, dla niej to czy zima, czy lato, to wszystko jedno, bo zdrowa, a ja siedzę jak przykuta w watomym kaftaniku, w chustce na głowie i tylko to płukanie albo pędzlowanie tem lapisem, co tak boli i jeszcze mi te książki wymawiają, bo sami nie czytają, niech by spróbowali, toby pewne woleli niż niejedne wizyty, na których się spać chce, np. w jakim domu, gdzie dzieci nie ma, a tylko starsi i rozmawiają: panie o sukniach, a panowie o Bismarcku. Ile razy mi się spać chciało u jednych znajomych w Iłży; Stefa tam ma cierpliwość nawet gra w domino, a ja tego nie znoszę, już sto razy wolę czytać książkę, żeby tylko była.

To były myśli i marzenia głowy, a ręce pracowały rzetelnie i mama widzi, jak sukienka stanęła, kupiła mi białe rękawiczki, buciki prunelowe miałam i toalety druhny jak z igły.

Owa sobota nadeszła, sanna ginie szybko, szkoda, tak miło jechać sankami, a ja rzadko tej jazdy używam o to gardło.

Wieczorem trzask z bata oznajmia konie ze Zwoli. Bryczką pojedziemy, bo roztopy takie i tak droga ciężka, że w Kunowie druga para koni z człowiekiem nas czeka, bo trzeba bryczkę trzymać i para by nie uciągnęła. Szosą to jeszcze, jeszcze, ale u nas źle na górach bardzo, dodaje furman. Ojciec przyjedzie w dzień wesela.

Po Mszy w niedzielę wyjeżdżamy. Szosą dobrze się jedzie, choć błoto, polami już stoją istne jeziora. Kamienna pełna po brzegi, w Brodach, fabrykach żelaznych, urządzonych pięknie jeszcze przez Bank Polski, staw olbrzymi faluje, jak



wezbrane morze i nadmiar wody z wściekłością przez upust pod mostem żelaznym wyrzuca. Prześliczne to miejsce Brody, góry i skały, dębowe i sosnowe gaiki czynią je w lecie rozkosznym i nic miłszego jak wędrówka z olbrzymiej góry piechotą. Mama się zawsze obawia zjeżdżać i koła u powozu hamują łańcuchem.

A teraz znów ten wspaniały wodospad biały sperlonej wody, spadający z hukiem w ciemną głębię pod upustem, choć straszny trochę, ale oko swoim czarem przykuwa. Staw otoczony mocnym murem, krytym płytami ciosowymi, jest dobrze trzymany na uwięzi, a most piękny, żelazny, nawet nie drgnie, choć pod nim tak się ta szalejąca woda rzuca.

Bardzo to wszystko jest mocne, pięknie i z wielkim gustem budowane, a stawało to osławione gospodarstwo polskie.

Lecz na to gospodarstwo napadali najwięcej ci sąsiedzi kraju, którzy na tem najwięcej zyskiwali, a sami Polacy jak zwykle bezkrytycznie nawet nagany na siebie powtarzali: *"Bo to panie u Niemców to porządek, ho, ho, nie tak jak u nas."* A że ten porządek i dobrobyt tamtych z nas ciągnął soki, to już tego nie przypatrywali się, zresztą nawet piękne rzeczy dobre, widziane blisko i ciągle, powszednieją, a co prawda nie dość widzieć oczami, trzeba umieć patrzeć i obserwować.

W Kunowie doprzęgają drugą parę koni i drugi chłop siada na kozioł. Zaczyna się jazda, lecz czy to można jazdą nazwać?

Wąwozy głębokie jeszcze w śniegu, a środkiem już szorują potoki i temi jedziemy, bo tędy droga idzie. Raz mama prawie głową dotyka gręby śniegu, to znów ja się o podobną ocieram, bryczka jak kołyska, chyli się na ziemię, a w chwili, kiedy już, już leżeć mamy, furmani skaczą z kozła i podpierają, wołając na konie: "ho, ho" i te całą siłą szarpia i wyrrywają nas z tej dziury. To taka droga pod górę, bo z góry jeszcze gorzej, w niektórych miejscach ślisko, to znów miękko, że nogi koniom więzną, wołają na konie: "ho, ho" i te wstrzymują całą siłą, aż na zadnich nogach przysiadają.

Furmani nieraz skręcają na pola, jedziemy górami wysoko ponad drogą, która jest prawie nieużyteczna, a nawet szkodliwa, a przejeżdżamy ją najczęściej w poprzek z lewej strony pól, kierując się na prawą. Mostki bywają, lecz przed nimi staw i za nimi drugi, mostek jak wyspa, na którą konie się drapia, wyciągając z tego stawu bryczkę po to, aby zaraz w drugi wpadła. A są miejsca, gdzie wczoraj jeszcze był mostek, a dziś ani śladu i trzeba objeżdżać do drugiego, aby go także nie zastać lub wybierać jakie płytkie miejsca na oko do przejazdu.

Konie schlastane, że nie podobne do siebie, dymi z nich para ze zmęczenia, a biała piana płatami odlatuje. Nam też obryzania nie brak, a chłopci umazane ręce raz w raz o kapoty obcierają. Trzeba dobrze znać każdą dróżkę, żeby tak jechać, obcy furman by przepadł z kretesem. My jednak dojechałyśmy cało, nie wyrócili nas wcale, czego sobie bardzo wieszujemy, ale dojechałyśmy już pod wieczór te pięć mil, z których połowa szosy dała nam się we znaki.

W Zwoli bardzo miło i weselnie, pali się w piecach, skrzeczyna (świerk) trzeszczy głośno w ogniu, a ciocia mówi, jak to w Gorzkowie kurza babka im



zawsze przy kominku gwarzyła, że drzewo w lesie nasłucha się strzelania z ba-
tów i potem samo tak próbuje.

Bardzo miły ten ogieniaszek, bo co prawda zwykle na wsiach, po dworach
bywa zimno, bywają tak jakieś dwa pokoiki ciepłe, lecz na ogół dom ogrzać
trudno. Piece nie osobliwe, dobrych zdunów brak, kominki, o ile dobroczynne,
gdy się ogień pali, o tyle złodzieje ciepła, gdy zgaśnie, bo szyber zimno wyciąga.

Z gości my pierwsze, za nami nadciąga Marjan, po którego wozem do Re-
jowa posłano, bo tam jaszcz gorsze topiele, a mówią, że z drugiej strony gór od
Iwanisk sanna jak najlepsza. Zawsze tam zima dłużej trwa.

Wszystkie dzieci są w domu prócz Jadzi i Karola, którzy ze szkół jutro mają
przyjechać. Narzeczony, jadąc przez Kielce, ich przywiezie.

W poniedziałek od rana mama ginie w spiżarni i czeladniej izbie, cioci ani
widać, Helcia firanki zakłada, Zosia jej pomaga, Marjan z wujem w gumnie, ale
dzieci też zajęte coś noszą i odnoszą. Michałowa nad kołyską małej Józki półgło-
sem nuci: *"A uśnij, że mi uśnij albo mi urośnij, oj to mi się przydasz, w pole
gąski wygnasz"*. A mnie dają do obrobienia dziurki w prześcieradle, bo już koł-
dry podpinane rugowały dawne podszywane.

Ładnie mi się wesele zapowiada, śliczna rzecz tyle dziurek obro-
bić, to jeszcze nudniejsze jak szycie wierzchem. Ale biorę się ostro,
bo im prędzej się pozbyć, tem lepiej. Do południa mam więcej niż
połowę. Po obiedzie przywożą gazety, papież umarł Pius IX i król
Włoski Wiktor Emanuel, sensacje wielkie i horoskopy wyciągane
różne, tem bardziej nadchodzi chmura, błyska się i grzmi. W lutym
grzmoty i błyskawice niezwykła rzecz i w świecie może się coś poważ-
nie odmienić.

My się tak bardzo nad tymi odmianami nie zastanawiamy i po po-
łudniu zasiadamy w salce z ronotami.

Marjan jest z nami i opowiada różne facecje z fabrycznego życia,
bardzo wówczas wesołego i zupełnie innego, niż dzisiejsze fabryczne.
*"Mówię wam, że przy tem piecu to strasznie gorąco i cały dzień ro-
bota, ale wieczór, gdy się poprzebieramy, to zaraz rada, gdzie iść z
wizytą, i tu miło i tam przyjemnie, a wszędzie wiem, że nas panny
wyglądają"* — *"O, zaraz, co to z was za zarozumialcy, może one o
was ani myślą"* — *"Acha, nie myślą, ale my dobrze wiemy, które do
nas słodkie oczka robią"* — *"Póki jesteście, a potem się z was wy-
śmiewają"* — *"A cóż to, zaperza się, czy to my im nie potrafimy tem samym
odpłacić, ale to nie prawda, nie śmieją się, nie wiesz to, że łatwiej słomianemu
Jasiowi o złotą Kasię, niż złotej Kasi o słomianego Jasia"* — *"A nie wiem, ja się
znowu zaperzam, bo ja nie jestem złotą Kasią, a słomianego Jasia za nic bym
nie chciała"* — *"Poczekaj, poczekaj, jeszcze się będę z ciebie podśmiewał - mówi
Marjan — "Albo ja z ciebie, zobaczymy"* — *"A zobaczymy"* — *"No, pogódźcie
się"* - mówi Helcia - *"Kto tam wie, co będzie, zaśpiewaj nam, co tam wiem, że
chórem śpiewacie."*

Marjan zaczyna wyciągać "Kwiaciarkę", głos się rozchodzi po pokoju i zaraz
słyszą płacz dziecka: *"Cóż to tam płacze?"* — *Cóż ty znowu, Marjan, nie wiesz,*



Pius IX zmarł 7.II.1878



Wiktor Emanuel
zmarł 9.I.1878



to nasza Józia?" — *"Przecież ją już widziałeś na święta"* - dodaje cicha, łagodna Wandzia.

Ciocia wchodzi z maleństwem na rękę - *"Mamusiu, ile razy przyjeżdżam, to nowe dziecko w domu zastaję."* - i całuje matkę pieszczotliwie w rękę, bo ją bardzo kocha i wie, że i ciocia – jego. Ciocia mu daje klapsa i śmiejąc się, mówi: *"Jak ty się ożenisz, to także ludzie ci tak będą przymawiali kpinkami, a może u ciebie będzie jeszcze więcej, niż u nas"*. I zgadła ciocia, bo Marjan miał dziewięcioro dzieci, a gdyby był tak wcześniej nie umarł, to może by się był tuzina dorobił. Bardzo był dobry i dla nas jak brat rodzony, nagła śmierć zabrała go w Radomiu u Biejeków (u naszej Stefy). Żalowaliśmy go serdecznie.

Helcia taka jakaś cichutka, zajęta ciągle, ale jakby smutna, wesele się nazywa, a zawsze te panny takie smutne przed nim.

Noc zapada, słyszymy z daleka trzaskanie z bicza. Składam skończone prześcieradło i oddaję Helci, ta pocziwie dziękują za pomoc, ja ją całuję, bo ją bardzo lubię.

Nadśłuchujemy, trzask coraz bliższy i psy już szczekają, świecą do sieni - wchodzi narzeczony, patrzę... i myślę sobie, że nie miała Helcia po co tak się spieszyć.

Brunet z niewielką bródką, śniady, oczy jakieś czarne, dość wysoki, ale co do urody, to nic o niej nie wiem.

Uprzejmy i greczny, wita się z wszystkimi, Helcię w rączkę całuje i podaje pudło cukierków, a duże łubiane, pewno z czepkiem i prezentem ślubnym wnoszą i stawiają na boku. Helcia mnie z nim zapoznaje, on mówi, że mu bardzo miło poznać nową kuzynkę, może mu tam i miło, ale co mnie, to gdyby nie Helcia, nic by mnie nie obchodził, wcale sympatii nie wzbudza. Nie zajmuję się nim więcej, bo widzę, że narzeczony to nic ciekawego i witam się z Jadzią i Karolem.

Wszyscy pytają o drogę, odpowiedź jednogłośnie, że okropna, bo to przez podnóże Łysej Góry powóz ledwo doszedł. Po kolacji cichaczem obie z Jadzią zaglądamy do pudła, czepeczek śliczny, broszka, kolczyki i zegarek z łańcuszkiem, tylko bransolety nie ma, *"no, ale bo też on dzierzawca, nie dziedzic"* – mówi Jadzia. Do późna idzie rozmowa, wreszcie wszyscy mówią sobie "Dobra noc".

Helcia w swoim pokoiku klęka się przygotować do jutrzejszej spowiedzi. Smutno mi się robi. Mamy posłane obie z Jadzią w salce przy piecu. W pierwszym pokoju nocują panowie. Pogaszono światło. *"Jadziu, czy ty śpisz?"* — *"Nie, bo co?"* — *"Cicho, żeby nie słyszeli, ale wiesz ty, że mi się wcale ten kawaler nie podoba, a tobie?"* — *"I mnie nie bardzo, ale cóż robić"* — *"A jak myślisz, dobry on będzie dla Helci?"* — *"Dlaczegoż ma być niedobry, cóż to on chłop czy co?"* — *"Albo to tylko u chłopów źli bywają i pan niejedni żonie dokuczają, a my to nieraz u nas widzimy przy aktach."* — *"Oni tam żadnych aktów mieć nie będą, o jego rodzinie ludzie dobrze mówią, to i on takim będzie, ale wiesz co, że on brzydki."* — *"A brzydki, ale wiesz, że dosyć przyjemny, no i jak jej się podoba, to cóż nam do tego"* — *"Ja bym tam jednak takiego nie chciała, a ty?"* — *"I ja nie, oczywiście, my sobie ładniejszych wybierzemy"* — *"Rozumie się, że ładniejszych"* — *"Ale konie ma ładne"* — *"Cóż tam, konie to nie on"* — *"Tak ci się zdaje, a to zawsze przyjemnie piękną czwórka od ślubu jechać i*



Helcia to bardzo lubi, zobaczysz, jaki to śliczny ekwipaż, powóz jak z igły" — "To i cóż, ale on brzydki" — "No to już trudno, my dostaniemy ładnych, ale już spijmy" — "Ano śpijmy" — "Dobra noc". I Jadzia usnęła natychmiast, a ja nie tak prędko.

My przyzwyczajone byliśmy przez ojca do głębszej rozważki nad wszystkim i teraz też rozmyślałam długo, ale w końcu usypiam. Śnią mi się dziwne rzeczy, nie klejące się ze sobą, coś mnie szarpie, ciągnie za głowę, ja się wyrwam i tak na nic, ciągnie jakby powrozem. Otwieram oczy i odwracam głowę, to dwa małe kociaki bawią się na ziemi moimi warkoczami, co mi się we śnie z poduszki zsunęły. Nie gniewam się na nie, choć mi włosy na głowie poplątały, bo tak na mnie zabawnie patrzą, uszki do góry, oczki niebieskie szeroko zdziwione i tak śmiesznie stawiają jeża, gdy je chcą pogłaskać. Małe kocięta mają zawsze niebieskie ślepki, dopiero im się później przemieniają w osławione przez ludzi zielone, fałszywe kocie oczy.

Niby też to znów ludzie tacy szczerzy bywają, i jacy nieraz fałszywi. Małe koteczki są śliczne, zgrabne, filuterne i zupełnie teraz szczerze na mnie patrzą. Jadzia już dawno wstała, zostawiła drzwi otwarte do innych pokoi i one nimi wbiegły. Ubieram się szybko, idę do jadalni, śniadanie gotowe, ale nikt nie je jeszcze, bo państwo narzeczeni wyjeżdżają do kościoła. Konie Zwolskie zaszły i młoda para przeprosiwszy nas wszystkich pokornie, a ciocię i wuja najbardziej, w towarzystwie Jadzi na przyzwoitkę pojechali.

Myśmy śniadanie zjedli, a ich długo nie widać, bo Grzegorzowice niedaleko, ale droga zła, spowiedź, potem Msza. Wuj mówi, że jutro od rana ludzie tam reperować będą, aby powozy przejąć mogły, bo tak jak jest to niepodobieństwo.

Marjana dzieci obsiadają: *"A wiesz Manius, że Łysa żrebka już pójdzie w zaprzęgu, a te małe kasztanki to tatuś chce sprzedać, ale Motyl mówi, że ich szkoda i może się zostaną, a nasze krowy to miały jałoweczki: czarną i graniastą, mamusia powiedziała, że się będą chować, a króliki już są"*.

I Wacek z Jasiem lecą do czeladniej izby i przynoszą po białym ślicznym króliku. Trzymane mocno za uszy, aż mrużą oczy za strachu, a Marjan je gładzi po bieluchnej sierści. I synogarlica jest w klatce i znów wszyscy idziemy ją oglądać i dajemy jej cukier, bo ona wciąż woła: *"cukru, cukru."* Marjan kontent, że w domu jest, gaworzy z dziećmiakami, wypytuje o wszystko i poprawiając ich wymawianie. I do babusi zagada, a stara Michałowa z lubością na swego pierwszego wychowańca patrzy i życzy mu, żeby dostał za żonę ładną pannę i dobrą gospodynię i nie bez wiana. *"Babusiu"* - śmieje się chłopak - *"teraz panny grymaśne, to by mnie taka nie chciała"* - *"Jaka nie chciałaby znowu"* - obraża się babina - *"chłopiec jak świeca, galant jak malowanie, a dobry, że już lepszego nie trza i nie chciałaby jeszcze"*. Marjan jej dziękuje za pochwały i prosi: *"Niech się tam babunia przepyta o jaką"* - *"Oj, pon se tam som nondzie takom, co się spodzio, ino pacierz zmówi do Matki Boski, żeby poszczęściło"*. I pocziwe kobieciska aż łzy fartuchem obciera.

Młodzi wracają z kościoła, jedzą z apetytem, Helcia jakaś weselsza, kawaler rozmowniejszy, rzeczywiście zyskuje, jak to mówią, przy bliższym poznaniu. Później siedzą w salce, Helcia robi jakąś robótkę szydełkiem, on jej tam coś półgłosem prawi. Domowi nie zajmują się nic nimi wcale. Ja z Jadzią w małym



pokoiku rozprawiamy o pensji, na którą ja zawsze pragnę się dostać, a rodzice o tem słyszeć nie chcą ze względu na moje zdrowie, Mundur pensjonarki to dla mnie ideał szczęśliwości. Jadzia go nie nosi, ale nie uważa, żeby to co było tak rajskiego. Czy tam, czy w domu, zawodu się uczyć trzeba. *"A właśnie"* - wołam z zapalem - *"tam się można dużo więcej uczyć jak w domu, są księgarnie, o książki łatwo, jakie się zechce, tylu profesorów, nauczycielek, toć przecie więcej nauczą niż jedna, choćby najmądrzejsza osoba"*, tak się spieramy, każde ob staje przy swoim.

W trakcie tego ja słyszę: *"O, ja pani nigdy takich rzeczy robić nie pozwolę, szkoda oczu i pięknych rąk"* - mówi pan Gustaw do Helci.

Helcia odpowiada, że ona do prawdziwej pracy przyzwyczajona, a szydełko to tylko rozrywka. — *"Ale u mnie właśnie wypocząć po tej pracy potrzeba."* Dalej nie słyszę, ale myślę, że to, co on mówi, to głupie, bo gdzież mam w to uwierzyć, żeby na dzierżawie gospodyni mogła nic nie robić? Babcia, wszystkie ciocie, mama, ciągle zajęte, że chwili prawie wolnej nie mają.

A ten, co znowu prawi? Pewnie to taki zwyczaj narzeczonych pleść byle co i Helcia pewno w to nie wierzy, tylko z grzeczności słucha.

Pod wieczór ciszej w domu, panowie u koni, panie czymś zajęte, dzieci się porozłaziły. Michałowa kołysze śpiącą Józię. Helcia do niej chodzi i mówi cichutko: *"Babuniu ja już od was daleko odjadę"* i tuli się do staraj niańki. *"O moje dziecię kochane, niechże ci ta Pan Bóg wszystko najlepsze, dzień i noc jo o to prose, jo jus stara, ale bych rada na twojom dobrom dole popatrzeć. Oj, będzie nam tu smutno bez was, ptaku kochany, będzie"* i całuje Helcię płacząc, ona też płacze i mówi: *"A mnie myślicie, że nie?"* Michałowa ją pociesza, każe oczy otrzeć, bo młody pon, by się ośmiół może, że panna Halina ze starą babą rozmawia i płacze. Helcia lży otarła i poszła do saloniku, gdzie już światło zapalone. Nie, naprawdę to wesele to się tak nazywa dla przedrzeźniania chyba, bo to wszystko wcale nie wesołe.

W dzień wesela od rana ruch niezwykajny. Marjan konno pojechał pilnować reperacji drogi, koło południa zaczynają goście się ściągać.

A przyjeżdżają bardzo rozmaicie dla jeszcze rozmaitszej drogi, powozy, są karety, bryczki, a z za gór sanki. Jednak wszyscy co są, doznali w drodze przygody i na wszystkich, którzy na wesele przybyli, wywróciło tylko dwa ekwipaże. Można więc sobie wyobrazić, jak podróżować trudno. Ojciec nasz przyjechał, mamie zdaje relację, co w domu słyhać. Gorzków nadjeżdża, Jadwiga Rudzka dziś starszą druhną. Należy się Jadzi Zwolskiej, ale ona jeszcze nie dorosła, a zresztą Jadzia Górska z Helcią to dwie przyjaciółki. Stefa jechała z Józią Rudzką i tylko dwa razy wpadły w wodę wywróciwszy. Aż huczy od opowiadanych przygód, ale wszyscy dojechali.

Stefa mi opowiada, że jej babcia z Kostusią uszyły różową, muślinową sukienkę, Gabriela z tunikowym upięciem, Józia ma taką samą. To dopiero i jak ja będę w mojej przy nich wyglądać? Dwóch dziś kucharzy gotuje, a i ci mieli co robić na tyle osób. Po obiedzie druhny na gwałt robią bukieciki z mirtu i cytrynowych liści, bo ślub ma być prędzej z racji złej drogi. Ciągłe ktoś przybywa, ci co z bliska, idą w pierwszy pokój do salki, bo przyjeżdżają ubrani już, ci co z daleka, kierują na prawo i mieszczą się w sypialnych pokojach.



Wnoszą pełno waliz powozowych, panny służące z nimi wchodzą. Rodzina pana młodego bardzo dwornie wjeżdża. Ciocia ubiera się najpierw w firmową jedwabną nowiuteńką suknię. Wesele pierwszej córki to uroczystość nie lada. Na głowę uczesana, jak zwykle, gładko, kładzie biały koronkowy ubiorek, babcia już popielata wychodzi, potem mama nasza i nasze ciotki.

W całej rodzinie babci kobiety ubierają się bardzo szybko i to bez luster. Obce panie zajmują pokój, ich panny służące im pomagają, nam służy Kosztusia z Gorzkowa.

Jadwiga Rudzka ma piękną suknię niebieską popelinową z wielkim trenem, a na przebranie białą z pasowym. Bo to na te przebranie tyle sukien potrzeba, że walizy same pół dużej stancji zajmują. Trzy razy to już konieczne, a cztery - nie należy do wyjątków. My się tak przebierać nie będziemy, a może za jakie dwa lub trzy lata. Stefa się stroi w swój różowy muślin, Józia też, Jadwiga Zwolska także na różowo, Zosia Targowska z Osali również, ja tylko jedna jasno popielata. Ale nie jest znów tak źle wcale i właśnie, że jedna tylko, to przez to ładniejsza. Kto się ubrał, idzie do stołu na herbatę, do której stoją zimne mięsiwa, galarety, wędliny, ciasta. Kto już wypił, idzie do salonu czekać na pannę młodą. I my się tam wsuwamy. Co za prześliczne stroje mają być pań, siostry pana młodego niebieskie, jedwabne, pani Gosławska, dawna Lola Reklewska, szafirową, przebraną białym tiulem i różowymi wstążkami, ciemne włosy ułożone skromnie, a jaka ona jest piękna ta pani Lola. Jej siostra białą z niebieskim, pani Jarosława, Jaruzelska z domu, panna Jabłuszewska z Lubelskiego, słodziutka mężatka o smętnej, szczupłej twarzyczce, ubrana w biały jedwab, czarne koronki i cieniowane żółte wstążki, Panna Marja Targowska z Lewiczyna z Grójeckiego w białej lekkiej sukni, po której się wiją girlandy ciemnych liści i gdzieś gdzieś różowa róża. Pani Gudziałowska, dawna panna Górecka, dziś już młodziutka wdowa, w jasno popielatej materii i czarnym aksamicie, bo żałoba, jej siostra, śliczna Paulinka w lekkiej białej w różowe bukietki, przetykana srebrem, Marja Malewska, pół Francuzka z Paryża, siostrzenica wuja Malewskiego, w różowej w paseczki i ile innych jeszcze, których nie pamiętam. Panie starsze w swoich popielatych i brązowych jedwabkach, stosownie do fasonu, a wszystkie toalety z trenami bardzo długimi, bo taka moda.

W skromnym domku aż szumi od tych ślicznych sukien, ogrom tych kobiet przedstawia się wspaniale. Może na miejskich wielkich salonach zgastyby, lecz tu królewsko wyglądają, bo są bardzo ładne, niektóre śliczne.

Jadwiga z panną Foltańską skończyły przypinanie bukietów družbom, czekają na Helcię. Ją ubierają w małym pokoiku w długą suknię wełnianą z koronkami i welon z wieńcem diademowym. Wszystkie obrzędy zachowane, Helcia bardzo wzruszona, a starsze panie szepczą z cicha: *"Wesela godzina, biedy wiek, biedy wiek."*

Czuję, że ślubów nigdy lubić nie będę. Nareszcie wujostwo stają w salce, a pan Gustaw po Helcię przychodzi i bierze ją pod rękę. Nie widziałam nic więcej, bo i nie chciałam widzieć. Zaczyna się wyjazd. Jeżeli toalety pań były śliczne, to w ekwipażach istna wystawa, stangreci już zmyli z nich przebyte błota, wypucowali do czysta brązy i blaszki mosiężne w uprząży oczyścili, świecą się jak



złote i teraz każdy z pompą pracę swoją prezentuje. Takie wesele to występ i to pokaz nie tylko koni i powozów, ale i furmańskiej zręczności.

Długo będą o nim gawędy po stajniach, toteż każdy krzepko lejce w garści trzyma i swoją czwórkę wiezie. A czwórki te są dobrane, jak rzadko kochają się też w koniach wszyscy. Te piękne zwierzęta to chluba i duma każdej lepiej zagospodarowanej wioski. Panowie, wychodzą na ganek i nim się w sali skończą pożegnania, oni lustrują wszystkie cugi. Pana młodego oczywiście najbardziej krytycznie, najmniejsza wada i zaleta końska oka znawców nie ujdzie, każdy ruch głową, podniesienie nogi, każdą niemal pęcinę uważają i oceniają. Ładny to i malowniczy widok na tem dużym dziedzińcu, tyle tak pięknych zaprzęgów, którym i ubrania stangretów efektu dodaje.

Choć już dużo mniej teraz kerezji, granatowe liberie i srebrne guziki i galony lepiej teraz przypadają do gustu.

Marjan wychodzi na ganek i woła: "Podjeżdżaj!"

Motyl wali z bata co sił i staje pod gankiem.

Powiezie naszym Helcię, bo już ją druźbowie prowadzą. Marjan, brat rodzony, Adam Lipiński – cioteczny. Ciocię jacyś panowie wiodą i razem z Helcią do powozu wsadzają.

Pan młody zaraz za nimi jedzie z druźbami, ale co nieznaney młodzieży, bo chyba pana młodego towarzysze. Tłok na ganku nie do opisanja. Druźby starsze, potem młodsze, starsze panie, panowie, dla nas panienek powóz pp. Gosławskich i wsadzają nas trzy i Karola na druźbę do posługi. Kto jedzie za nami, już nie wiem. Pogoda jasna, słońce jeszcze świeci, choć już schyla za góry. Nasz powóz dostał się w środek orszaku i jechaliśmy szczęśliwie do łąki i mostku. Na nim jakiś furman nieszczęśliwie wziął wagę na prawo, a mostek wąski, dość, że jedno koło zsunęło się. Wysoko, więc nie wyleciałyśmy, ale ruszyć nie sposób. Konie zaczynają wierzgać i zatamowaliśmy drogę reszcie. Furman klnie, jego pan jadący za nami także, lecz to sytuacji nie poprawia. Więc lekką bryczką puszcza się przez łąkę i w bród rzeczkę przejechał, a więc wygrana, zatem i inni tędy skręcają.



Dla nas opróżniają inny powóz, młodzież się sadowi na dalszy, a my musimy przejść kawałek łąką do tamtego powozu, bo podjechać po nas niepodobno. Dobrze, że mamy głębokie kalosze, więc łąkami z pomocą druźbów trochę przenoszone, dostajemy się wreszcie na suchy ląd, czyli do oczekującego powozu. A tamten stoi na uwięzi. Furmani go mijają i wykpiwają kolegę, on im wymyśla, wszyscy się śmieją, już przecie bez przeszkód dojeżdżamy do kościoła Grzegorzowskiego. Wioska ta jest ślicznie położona na dużych wzgórzach nad małą łączką, którą się w bród przejeżdża. Kościół wysoko, kilkadziesiąt kamiennych schodów do niego prowadzi. Przyjeżdżamy późno, większa część orszaku w kościele. Zaledwie weszliśmy, zaraz powiedziano młodą parę przed ołtarz i ślub się rozpoczął. A trwał długo, bo dawał go ksiądz, taki starowina, że się ledwie ruszał i ledwo mówił, to proboszcz miejscowy. Stryj Helci, a brat rodzony wuja



Rafała, ksiądz Teodor Targowski, prałat, oficjał czy infułat, dość, że jakiś dygnitarz kościelny, właściciel wsi Przyborowice koło Gorzkowa, dla czegoś tam przybyć nie mógł i bratance ślubu nie dawał.

Po ślubie wychodzimy przed kościół i pary się szykują, bo po tych schodach, a jeszcze w zimie, to tak bardzo łatwo zejść nie można. Ruchliwy obrazek roztacza się przed oczyma schodzących, na dole mnóstwo ładnych ekwipaży, kolejno podjeżdża, a do nich zdąża szereg par z góry, panie jasno się zaznaczają w zapadającym zmroku.



Widzę Helcię, jak ją już mąż prowadzi, biały jej welon jest jakby przewodnikiem dla innych. Konie cztery białe jak jeden, podchodzą i do nowego powozu siada młoda żona, ale ku jakiej on jej doli powiezie?

Nie, stanowczo nie lubię patrzeć na śluby, takie to jakieś straszne, niepewne.

Mnie i Zosię Targowską z Osali zaprosił do swego powozu starszy družba, pan Adam Lipiński, Zosi brat cioteczny, a dla mnie brat mojej wujenki Wiktorowej i siostrzeniec wuja Rafała. Powóz elegancki, konie śliczne, Karol jedzie z nami, pogoda się raptownie zmienia, zaczyna podświtywać na zachodzie na mróz i na drodze już się ślisko robi miejscami. Jadą inni, jedziemy i my, ale już jakieś fatum z tą jazdą. Pod górę, konie pełne fantazji, odmawiają posłuszeństwa, często tak robią konie z równin, furman szarpie lejcami, pali im nad głowami z bata, te jeszcze gorzej się narowia, pan Adam się wychyla i woła: "*Cóż ty nie dasz sobie rady?*" A tymczasem inni nas mijają i znowu obrzucają śmiechem i drwinkami, które zniecierpliwiają furmana tak, że staje na koźle, bierze krótko lejce i strzela z bata ogłuszająco, lejcowe szarpnęły, lecz dyszlowe veto i zamiast zgody, wierzgnęły silnie łamiąc orczyki. "*O psia....*" — woła furman i skacze na ziemię, wyskakuje i pan Adam: "*Taki, owaki, zwiąż jako sznurkiem*"



— *"Kiej nie mom Wielmożny Panie"* — *"A co żeś ty się psiakrew wybrał bez sznurka"*. My się obie z Zosią zaśmiewamy w powozie, Karol też wyskoczył, a noc się robi. *"Żeby to wszystko jasne pioruny zatrzaśły"* — *"Czy i nas?"* — pytamy rozbawione. *"Przepraszam, przepraszam, niech panie nie słuchają, ruszaj, że gapo na wieś po chłopów i przynieś jakiego drążka i sznurka."* Furman poszedł, pan Adam konie trzyma, Karol mu pomaga. *"Niech panie się nie wychylają, bo mi się pozaziębiacie i jak ja nieszczęśliwy przed matkami stanę?"*, a do Karola: *"To jucha dopiero, żeby im tak pozwolić się znarowić, przymrozek bierze i to im się nie podoba."*

Wraca furman z kilkoma chłopami, majstrują, majstrują, pan Adam wsiada z Karolem, chłopci powóz z tyłu pchać mają, furman stoi obok z lejcami w ręku, strzela i krzyczy: *"hoo! hoo!"* - konie szarpią, skaczą i reperacja popsuta.

"Żeby cię diabli wzięli" - woła wyskakując pan Adam, a do nas: *"Proszę was, moje panie, nie słuchajcie"* — *"Proszę Wielmożnego Pana, cosik w tem jest, bo przecie nigdy tak nie robią"* — *"A jest, jest to, żeś dureń i kiepskość wziął z miejsca, trzeba było nie folgować i ostro pod górę, a nie teraz o czarach gadać"*. Chłopci podnoszą powóz za koła. *"O, o dyćta myślałem, co to bardzo ciężki, kiej one tak ciągnąć nie chcą, a tu we dwóch podnieść można"* — *"Cóż by to było ciężkie, dwie panny, to ta dużo, może za korzec pszenicy stojom"*. Jeszcze raz próba, jeszcze raz tego samego. *"Cóż, ty tu chyba nocować myślisz, czy co?"* — *"Trzaby dłuższego drążka Wielmożny Panie"* — *"To lećcież gdzieś po niego, a żywo"*.

My jesteśmy tak rozśmieszona wszystkim, a najbardziej komicznymi wykrzykami pana Adama, który po każdym zaklęciu, których tak furmanowi jak koniom nie szczędzi, zwraca się do nas z prośbą, żebyśmy uszy zatkały. My mówimy, że waty nie mamy, a zresztą, to tak głośno się odbywa, że i ona by nie pomogła. Nasz opiekun jest skłopotany, bo to już godzina mija, a tu nic się nie zmienia, on ma tańce zamówione, a co tam danserki powiedzą. Pociaszamy go, że walc długo się ciągnie, ale mu głównie o panie chodzi, zimno się robi coraz bardziej. I chce nas okryć swoim futrem. Na to nie pozwalamy, bo mamy salopy futrzane i chusteczki na głowach.

Nareszcie przynoszą drążek, siekierę, sznurki, przycinają, pasują, wiążą i znów próba jazdy, ale tylko my same, panowie idą, chłopci z tyłu pchają, furman stoi na koźle i huka z całych sił. Czy że lżej było, czy się konie namyśliły, dosyć, że ostro wzięły wszystkie cztery z miejsca i prawie galopem stanęły na górze. Tam dopiero panowie wsiedli i jechaliśmy już jak wiatr, bez względu na wyboje, bo konie zwykle po takim wyładowaniu fantazji lecą jak szalone, a droga skrzepnięta poprawiła się trochę.

Z domu już posłano po nas, pani Targowska i mama chodziły zaniepokojone ogromnie, bo nikt podobnej przygody nie przypuszczał.

Tańce już dawno rozpoczęte, grzeczny pan Adam na rozgrzanie walcuje ze mną i z Zosią po kolei, potem idziemy na herbatę, bo czujemy, że nam zimno. Wszędzie jest tak pełno, że się ani przecisnąć. Panny służące dowcipne, walizy powsuwały pod długie stoły, obrusy zakrywają doskonale, a naprawdę, gdzież je było postawić, kiedy ludzi tyle. Helcia tańczy wesoło, a ślicznie tańczy i z wielkim wdziękiem, pan młody także, znać balową wprawę.



Ale te długie suknie są istną plagą. Tylko dwie młode panie nie tańczą: pani Sudziłowska, jako w żłobie, i pani Gosławska, której mąż zazdrośnik tańczyć nie pozwala, sam wywija jak kawaler i trzyrubłówki muzyce rzuca. My niewiele w salce przesiadujemy, tyle panien dorosłych i mężatek, więc choć młodzieży dużo, ale miejsca zupełnie nie ma. Kilka nas jest rówieśnic, lubimy się z sobą, dawno nie widziały, to i mamy o czym gawędzić. Chłopcy Karol i Sławek Reklewski zabawiają nas trochę, ale więcej my się z nich śmiejemy, jak to zwykle z uczniaków.

Kolacja, mamy jakiś stolik pod oknem, przy którym nasza młoda kompanja siedzi, czasem który ze starszych kuzynów się przysiadzie. Rosół z gwiazdeczkami jadłam wtedy ostatni raz, bo już wtedy wychodziły z mody te obiady o dziesiątej, a wchodziły kolacje o 12-ej bez zup. Lecz w Zwoli jeszcze starą modą był obiad, jak dawniej podczas kolacji i teraz nas Marjan wyciągnął, a dobrawszy kilka panien, które wolały jeść później, urządził takie tańce w salce, że nam wynagrodziły to, żeśmy się wprzód tylko patrzeniem kontentować musiały. Przyszło dużo panów, nawet żonaci niektórzy i tańczyłyśmy cały czas bez przerwy, stanowczo weselej, bo nie było tak ciasno. Potem ustąpiliśmy innym bez żalu, a sami dokończyli jedzenie.

Wiwaty były głośne i częste, palba z biczów jeszcze głośniejsza, a potem poszedł mazur.

W jadalnym opróżnionym pokoju siedzi babcia z moim ojcem: *"Moja matka kochana, czy ten Rafał myśli dać Helci posag, tak od razu?"* — *"Nie wiem, ale zapewne, boć on nie taki duży i młodym trzeba zapomogi"* — *"Tak, ale jeśli panicz długi ma i ten grosz na to pójdzie, to dzierżawa, ewikcji hipotecznej na to być nie może, żal by mi było dziewczyny, gdyby nic swojego nie miała"* — *"Trzeba go się zapytać, Rafale, proszę cię też, mój drogi, tu do nas na chwilkę"* — mówi babcia do wuja, prowadzącego chłopaka z tacą butelek do sali. *"Zaraz, zaraz, tylko im tam podam wino, bo tańczą przewlekanego"*.

"Widzi matka, ja co się tak natulałem w życiu po więzieniach, po Sybirze, teraz jako rejent, tyle ludzkiego łajdactwa w interesach widzę, to wiem, co się to dziś dzieje. Rafał ufny za bardzo, co szlachcic, to już u niego sakrament, a tu teraz to i szlachectwo nieraz cygańską drogą chodzi". Babcia przytaknęła, ale zaraz dodała, że młody człowiek wygląda na dojrzałego już człowieka i z rodziny znanej w Kieleckim.

Wuj nadchodzi, a na zapytanie ojca, co zamyśla robić z daniem posagu, zaraz czy też poczeka, aż się przekona, jak tam gospodarstwo stoi i czy czasem jakie Żydy już na Helcine wiano nie czekają, zachnął się z oburzeniem: *"Jak kto, to ja mu dziecko z zaufaniem daję, a pieniędzy bym się obawiał, powierzyć? Cóż to, on nie ze szlacheckiego gniazda, czy co?"* Ojciec zauważył, że hipoteki nie ma, więc sumy lokować nie ma czym. *"Słowo to hipoteka, wiem, że dzierżawa dobra, więc jak te pieniądze użyją na powiększenie gospodarstwa, to i chleba nie braknie i z temi paroma tysiącami rubli od razu staną na nogi"* — *"A jeśli ma długi?"* — *"E, mój Janie, ty to już tak czarno wszystko widzisz, choćby i miał trochę, to teraz, gdy się ożenił, przysiadzie fałdów, popracuje, to wszystko pójdzie innym ładem. Kawaler, to oczywiście, to grosza utrzymać nie lubi, ale żonaty"*. I wuj poszedł dalej nalewać i czatować, a ojciec do babci: *"Daj Boże, żeby się Rafał nie zawiódł, mnie mój fach niedowiarstwa uczy"*.



Zabawa szła świetnie całą noc, panny się przebierały nieustannie, panny służące zdesperowane, co z tymi sukniami robić, nie wiele myśląc, popowieszały je na ścianach dawnego sypialnego, a teraz na jadalnię obróconego pokoju. Wisiały więc te gazy ogoniaste i jedwabia barwiste jak jakie sztandary, lecz tak było dużo ludzi wszędzie, że mało kto na to uważał. Teraz wszystkie suknie były krótkie, bo takie zwykle do przebrania bywały i niektórym pannom było w nich jeszcze ładniej.

Jadzia Rudzka ślicznie wyglądała w białej z pąsową szarfą i koralami na szyi.

W salce zrobiło się luźniej i my też znalazłyśmy miejsce, a i tancerze nas znaleźli. Młodzieży było masa, więc każdy rad by się zabawić. Kontredansa szły na kilka zmian, mazur po osiem par od razu. W trakcie pauzy widzę, że do mamy przysiada się jakiś siwawy pan, coś jej mówi, ona się śmieje i daje mi znak ręką, żeby się przysunąć.

Lawiruję między tańczącymi i stoję przed mamą: *"Pan Jan Reklewski chciał się z tobą poznać, oto moja najstarsza córka"*. Pan wstaje, ja dygam, a on pół żartem, ale z powagą deklamuje: *"Widzę młodą panienkę, na niej jasną sukienkę, od wieczora do rana jedna i ta sama."* — *"I to panią bardzo korzystnie wyróżnia i właśnie tego szanownej mamie winszowałem, a teraz córce"* — znów się kłania, ja też, a nie umiając wierszy składać, powiedziałam: *"Dziękuję"* i poleciałam do towarzyszek.

Czy nie tryumf, moja prana, prasowana i w pocie czoła przezornie wypracowana sukienka doczekała się pochwały i to wierszem, a tamte stroje figę. Dobrze mama zrobiła, że nowej sukni kupić nie chciała, niepotrzebnie się przedtem martwiłam. A jaki pocziwy człowiek ten pan Reklewski, widać tych przebierań nie lubi, bo też to naprawdę sensu nie miało, tylko że znów na tyle zabaw, co bywało, to świeżo kupiona suknia była przez to zaoszczędzona. Jak zwykle do przesady łatwo dojść, tak i tu się zdarzyło.

Oczepiny i cukrowa kolacja. Szampan wiwatuje korkami, pijano go tylko na weselach i tylko przy cukrowej kolacji, tak jak dziś, nie był używany na zwyczajnych przyjęciach. A dziś piorunują na owe zbytki dawniejsze, kiedy naprawdę przyjęcia bywały choć bardzo dostatnie, ale o wiele mniej wymyślne i przeważnie złożone z tego, co wieś dawała. Dzisiejszych, kosztownych zakąsek, zamorskich konserw, przystawek, drogich wódek i likierów ani śladu na stołach nie było, wszystko bywało domowej roboty i chluba gospodyń w doborze potraw i przyrządzaniu wędlin i ciast spoczywała.

Piwa pito niewiele i tylko przy bigosie, który wina nie znosi i ma na to zabronione przysłowie, czy jak nazwać: *"Nie pij wody po rybie, po kapuście wina"*. Piwo to bywało lekkie, zwykle czarne, przywożone w beczce i w domu w duże, zielone butelki zlewane.

Przy cukrowej kolacji Helcia milutko wygląda w czepeczku mężatki, pan Gustaw czepka nie włożył, więc nic nie wyładniał, ale jest ożywiony, gospodarujący, zapraszający, towarzyski, układ nie zostawia nic do życzenia i goście skarżyć się nie mogą, bo wszyscy tu są tak gościnni i uważający, że mimo tak liczego zjazdu, nikt na chwilę zapomnianym nie jest. A jest do pamiętania stół pański, stół ludzki, stół przybyłych panien służących, stół lokai i kucharzy, to wszystko z odpowiednim zaznaczeniem i znajomością pewnych temu stanowi



form. A przeciąż i tem ludziom, co się ze wsi zeszli popatrzeć na naszej Helci wesele jakiś się traktament należy i choć ze dwa słowa rozmowy, jest więc roboty dosyć i choć tyle osób tem zajętych, wszyscy się napracują. Ciocia jak zawsze spokojniuteńka, miło uśmiechnięta, jest wszędzie i wszystko widzi, mąż i syn męskim towarzystwem zajęci, ciocia, mama i babcia - damskim, Jadzia już dla wprawy pomaga i wszystko idzie doskonale, choć w tak szczupłym mieszkaniu. A i goście też przyjmowani tak od serca szczerze i gościnnie, choć jest co niewygodnego i nowe od szyku, chętnie zapominają i radzi się bawią wesoło.

Po śniadaniu niektórzy już się zbierają do wyjazdu, służba wynosi walizki, aby je do czekających już powozów przyśrubować, drzwi pootwierane, trochę zimno, choć już wszyscy przebrani ciepłej do drogi, panie zbierają manatki córek, które jeszcze tańczą to galopki, to oberki, bo te tańce, z największym życiem bywały rano tańczone.

Zyle wszystkich sił dobywa i on ani chwili nie spocznie, a prosto stąd jedzie do Chybic, gdzie u słynnego hulaki, pana Bielskiego, ze trzy dni grać będzie. Jego żydki to się już trochę kiwiają, ale rzucane ruble i trzyrubłówki elektryzują ich doskonale.

W pierwszym pokoju grono starszych panów, a i młodzieży sporo, wnoszą dziękczynne toasty strzemiennego, wuj jest pośród nich.

Gruby bas intonuje, a wszyscy pomagają:

Pije Kuba do Jakuba,
Jakub do Michała,
Wiwat ty, wiwat ja,
Kompanija cała.
A kto nie wypije,
Tego we dwa kije,
Łupu, cupu, łupu, cupu,
Tego we dwa kije.

Ogromnie nas to bawi, bo znakomicie śpiewają i z tak wesołym akcentem, któremu wtórują hołupce z salki wybijane nad ranem i z niezwykłą siłą, że jest to zupełnie inna zabawa niż wieczorem.

Potem idzie:

Kiedy nam się pora zdarza, pora zdarza,
taka doba i taka doba,
Pijmy zdrowie gospodarza,
Jak się podoba.

Pijmy zdrowie żony jego
Dzieci jego, wnuków jego,
Aż do setnych lat, aż do setnych lat,
Kto go kocha, kielich chwyta.

I woła; "Wiwat"
Kto go kocha, kielich chwyta,
I woła: "wiwat".



A że nie było w całym domu takich, którzy by wuja, ciotki i ich dzieci nie kochali (a na wnuki trochę poczekają), można sobie wyobrazić, jaki się tworzył chór głośny, od którego drżały szyby. Wuj z ciotką stojąc dziękowali, a i dzieci zwoływano do tego toastu, za który się wuj i synowie spełnieniem kielichów wdzięczali. Teraz znów wuj zaczyna:

A kiedy już odjeżdżacie,
I nas samych zostawiacie,
Pamiętajcie, żeście nasi,
A my przyjaciele wasi.

A chór gromko melodię chwytą i wprawnym zespołem ciągnie:

A kiedy odjeżdżasz,
Bądź że zdrów,
O naszej przyjaźni
Dobrze mów!

Widzę twarz poczciwego wuja rozpromienioną uczuciem prawdziwej serdecznej przyjaźni dla tych wszystkich, którzy go otaczali i wdzięczności, za jej od nich oznaki.

Odjazd na dobre się rozpoczyna, na ganku jeszcze pożegnania, jeszcze toasty, jeszcze wiwaty.

Słońce już weszło, lekki śnieżek przyprószył ziemię, w powietrzu świeżo oddychać lekko. Wszyscy panowie stoją bez czapek, bez futer, ciepło im, bo zahartowani ludzie. Wsadzają damy, zegnają, potem się sami odziewają szybko i wskakują na podjeżdżające ekwipaże.

Dopóki ostatni nie odjedzie, wuj z synami z ganku nie schodzi.

I my odjeżdżamy także, ja z mamą Zwolską bryczką, ojciec ze Stefą - Iłżecką. Z maleńkiej górki jakoś z ukosa nasz furman zjeżdża prędko, ogląda się i mówi: "*O tamten to tu wywali*" i staje, my się oglądamy, a prawie w tej chwili widzimy, że ojciec ze Stefą z całą bryczką lecą na ziemię. Nasz furman poleciał na pomoc, prędko się pozbierali i bryczkę postawili, a że w grubych wszyscy kożuchach, więc się nie potłukli.

Podziwiałem przewidującego furmana, w jednym miejscu były większe dziury i doły i nie wróżył tego, a tu z dokładnością jasnowidza przepowiedział, że nie znający drogi chłopak ułoży pasażerów. Na tej przygodzie droga się zakończyła i zakończyło dla nas wesele pierwszej córki we Zwoli.

Ale nie wszystkie takie tam bywały. Do Jadzi zupełnie inną ścieżką szedł los.

Zawsze utrzymuję, że w życiu nie ma tyle romansu i miłości, ile jej się zawiera w drukowanych poezjach i powieściach, lecz trudno twierdzić, żeby ich wcale nie było.

Na zabawie w Zwoli bywał młody, przystojny chłopiec, wesoły blondyn o szczerym poczciwym sercu, a guście do koni zdecydowanym. Tańczył ładnie i z duszą, bił hołupce ochoczo, sympatycznym był wszystkim.

A był to brat cioteczny pana Gustawa, pan Józef Raczyński. Jak Józef to już dobry, takie jest zdanie ogólne, on nie był wyjątkiem. Poznał w Zwoli ładną pannę i po jakimś czasie przez brata udaje się do wuja Rafała, aby go w dom jej wprowadził, wuj się chętnie zgodził, jak zawsze formalista, napisał do tego domu z oznajmieniem, że z takim to a takim, godnym i pełnym zalet młodzieńcem, pragnie złożyć swoje uszanowanie w tem a w tem dniu.



Odpowiedź była grzeczna, przyjmująca wizytę. Na dzień oznaczony, jakoś po świętach Bożego Narodzenia, kawaler ładnym końmi i sankami przed gankiem w Zwoli staje.

Są w domu dzieci ze szkół: Karol i Jadzia. Jadzia ładna dziewczyna, kończy lat szesnaście, lecz o konkurentach jeszcze nie myśli, bo wpieryw pensję skończy.

Nazajutrz panowie mają jechać, a dziś się wszyscy zabawiają jak mogą, ale nazajutrz okazuje się, że sanki kawalera w drodze bardzo ucierpiały i muszą pójść do kowala, który zaręcza, że na jutro będą gotowe. Cały dzień schodzi wesoło, młodzieniec wymowny bardzo, w tem domu mu tak dobrze, swojo, nie smuci się jakoś odłożeniem wizyty.

Na drugi dzień kowal oświadcza, że odpowiedniego żelaza nie miał, musiał po nie chodzić do Słupi, ledwie przyniósł, dziś być sanki nie mogą, koło jutra. Wuj nie w humorze, list napisał, dzień oznaczył, a tu tak schodzi, młodzieniec się nie martwi, cóż robić, zdarza się i tak w drodze, Trzeci dzień zmiany nie przynosi, sanki widać są nieuleczalne, wuj już na dobre gniewa się na kowala, każe spieszyć, a w końcu woła młodzieńca do pierwszego pokoju i proponuje, że pojedą Zwolskimi sankami, a jechać trzeba, bo i tak może być obraza.

Szczera natura chłopaka nie wytrzymała. Kulawo, sękato, ale otwarcie wypowiada, że on bardzo przeprasza, bardzo pokornie dziękuje za chęć opieki i towarzystwa i za Zwolskie sanki, ale on już tego, tak niby, nie pojedzie nigdzie dalej, bo on się zakochał w pannie Jadwidze.

"Co, co, w jakiej pannie Jadwidze?" — "A w córce Pana Dobrodzieje, którą tu teraz bliżej poznałem" — "W Jadzi?" — "A w Jadzi, w Jadzi i już o nikim nie myślę, tylko ją chcę dostać, jeśli mi jej szanowni państwo dobrodziejstwo nie odmówią."

Wuj stanął zgniewany i zdziwiony.

Oświadczyły choć szczere, ale tak nagłe i tak nie po formie zdetonowały go zupełnie. Kawaler stał niepewny.

"E, panie dobrodzieju, to już nie uchodzi, to nie po szlachecku, ja napisałem, tam na nas czekają, a tu pan sobie lekko to wszystko traktujesz, zmieniasz panny, dziś ta, jutro ta i wychodzi na to, że cię miałem wieść gdzieindziej, a swoją ci córkę swatam, nie panie dobrodzieju, to obraza dla mnie, po szlachcicu się tego nie spodziewałem".

Raczek słuchał pokornie, a gdy wuj z pierwszego gniewu ochłonął, zaczął się tłumaczyć, że on nic nie winien, że serce nie sługa, że przecie to nie grzech się zakochać, że i wuj kocha swoją żonę, więc on chce mieć żonę z tak zacnego domu, takich rodziców, tak wychowaną uczciwe i bogobojnie, do której go serce pociągnęło.

Wuj się sroży jeszcze długo, stuka palcem w czoło, chodzi po pokoju, ale pan Józef odzyskuje wymowę, przeprasza, prosi, błaga, a w końcu po rękach całuje, mówiąc: *"Panie dobrodzieju, darujcie, czego to człowiek z miłości nie wymyśli, ale to tylko raz, słowo uczciwe, honorowe i szlacheckie, że Jadzia będzie szczęśliwą"*.

Cóż było robić z szalonym chłopakiem, wezwano ciocię do rady i stało, że za tę nagłość poczeka dwa lata i jak dowiedzie stałości, to Jadzię za żonę dostanie.



Wuj rad nie rad, musi się podjąć wytłumaczyć z zaniechania wizyty, Jadzi urzędownie nic nie mówiono, ale czy tam pan Józef wytrzymał, żeby jakiego czulego słówka nie szepnął, to nie wiem.

Sanki cudownie wyzdrowiały i powiozły do domu szczęśliwego chłopca. Kowal zarobił porządnie.

Czekał, doczekał się, kochał swoją Jadzię coraz bardziej, ochraniał ją od wszystkiego troskliwie, pracował szczerze, wesoło było zawsze w domu, w którym ukochana żona była mu wszystkim. I do dziś tak jest, siwowłosa, choć młodo wyglądająca Jadzia jest główną osobą w domu, cztery córki ojciec przyuczył do adoracji dla niej.

Dziewczyny ładne i pracowite oszczędzają matce wszelkiego trudu, dwie już zamężne, dwie jeszcze w domu. Gościnni ogromnie, weseli zawsze i pan Józef jest tak młody jak dawniej, mimo, że nigdy bogaczem nie był i już nie będzie, ale ludzie zawsze lubią kochanego Raczka.

Helci zaś dola była bardzo ciężka. Majątkowe straty bywały duże, pan Gustaw, choć jej obiecywał próżniactwo, patrzył potem bez skrupułów, gdy pracowała bardzo ciężko.

Umarł bardzo wcześnie, zostało dzieci 6-cioro. Helcia wyniosła się do Warszawy i tam walcząc z biedą, wychowała dzieci bardzo starannie, na wykształconych i bardzo szlachetnych ludzi. A dziś mam wiadomość, że biedna matka od zmysłów odchodzi, bo ją doszła wieść straszna, że drugi z kolei chłopiec, Gieniek, zaciągnąwszy się do Legionów polsko-austriackich, umarł z ran w połowym szpitalu jeszcze w 1914 roku.

Wesela godzina, biedy wiek, biedy wiek.

Żal mi skończyć, żal porzucić ludzi, którzy w mej pamięci, tak się żywo w pamięci zapisali.

W półtora roku po ślubie 1879 roku Helcia na 2-go września przywiozła matce tęgiego wnuka, Adofka Dobem zwanego, a matka jej w zamian przedstawiła nową niemniej okazałą latorośl rodu Targowskich, Stefka.

Podczas zabawy mały wuj z rówieśnikiem siostrzeńcem zgodnie spoczywali w jednej kołysce, a gdy ciocia była zajęta, Helcia karmiła obu chłopców, w czasie zaś tańców ciocia chcąc, żeby się córka zabawiła, podawała pierś wnukowi.

Także dziś to już nie spotykane zjawisko, wtedy nie było wyjątkowym, choć także rzadziej się trafiało niż dawniej.

Małego Stefka, który zakończył dzieciarnię w Zwoli, ciocia ogromnie kochała, tak jak pierworodnego Marjana. Stefek był najbardziej pieszczony, najwięcej mu było wolno. Siostry nieraz o to burzały, lecz nigdy u cioci sprawiedliwości przeciwko Stefkowi nie zyskały. *"On mały, dajcie mu pokój"* - była jednakowa na to odpowiedź. I małym został, bo już mniejszego po nim nie było, a serce matki może czuło, że on ją wcześniej opuści. Ładny, miły, dobrze się uczący blondynek zmarł w 14-tym roku życia wskutek zerwania na gimnastyce w szkole jakiegoś naczynia w płucach.

Jako dzieci chorób nie znali, a jako dorośli umierali. Śliczna dziewczynka Brońcia w osiem miesięcy po ślubie już nie żyła, Marjan umarł na serce, miała więc ciocia nad kim płakać i żałować zawsze dobrych dzieci.



U tych, co pozostali, różnie się działo, jednym nawet bardzo dobrze, innych los ściagał zawistnie, mimo ich pracowitości. Trzecia córka, Zosia, bardzo wraz z mężem, bratem p. Gustawa, pracować musiała, Wandzi z p. Rzepeckim w Rytwinach było o wiele lepiej, dzieci gromada, ale dobre, wesole, wychowały się na pociechę rodziców. Najmłodsza, Józia Panuszewska, ma dobrego męża i trzy córeczki, mieszka w dobrej wiosce nad Wisłą w Ostrołęce, lecz znów mąż w zapasie armii i podczas wojny rosyjsko-japońskiej służył i teraz gdzieś się poniewiera, a żona musi się z kłopotami w czasie wojny ucierać. Wacek się ożenił i został w Zwoli. Jaś mieszkał z żoną w Krakowskim, w Topoli. Karol został księdzem i mieszka w Opatowie, a starzy Maciejowie mu gospodarzą. Było więc o kim myśleć, komu pomagać, o kogo się martwić. Wuj nieraz ciężko się troskał, lecz ciocia była zawsze spokojna: *"Przeciw woli Bożej, nic nie wymyślimy, ojczyźnie"* - mówiła do wuja i tem go uspokajała.

Raz kiedyś, gdy już i mnie życie swoją twardą ręką dotknęło, a odwagi do życia z nim brakło, zapytałam: *"Ciociu droga, skąd ciocia bierze tyle siły, aby podolać tylu troskom i kłopotom, i takiej ciężkiej zawsze pracy?"* — *"Moje dziecko, rano wstając, staram się myśleć o tym, co na dzień dzisiejszy do zrobienia przypada i o tem myślę, tylko się tem zajmuję, idąc od roboty do roboty kolejno i zawsze pamiętając na te święte i mądre słowa: <Dosyć ma dzień na swej nędzy> i to mnie trzyma, i od tych szamoczących duszę spoglądać w przyszłość broni i spokój od lat"*. Droga ciocia znalazła środek jedyny w świecie, lecz trzeba było na to mieć jej takie dziwnie pogodne usposobienie i takie żelazne zdrowie. Nam takim, jak ona mówiła, szamoczącym się nerwowcom, nie dorównać jej w tem spokoju, z jakim tak złe jak dobre z ręki Boga przyjmowała.

Już rzadko bywałam na zjazdach Zwolskich, które po trochu z konieczności przybierały coraz bardziej familijny charakter. Domów sąsiedzkich ubywało, wyprzedali się znacznie od Targowskich zamożniejsi, którzy się wyrzec kosztownego życia nie chcieli.

Pustoszało około Zwoli, koło znajomych zniknęło, ale za to koło bliskiej rodziny zwiększało się bardzo i na S-ty Stefan zjeżdżały się gromady wnucząt, bo ciepło bywało na te ludzkie ptaszęta, które matki rodu dziadkom prezentowały. Na S-ty Rafał tylko starsi ściągali.

W roku 1894 w lecie byłam z synkiem moim Jurkiem u matki w Iłży, siostra moja najmłodsza, Gawrońska z Warszawy, była także ze swoimi dziećmi. W Iłży mieszkali także Pleniewiczowie (siostra moja Zosia), tworzyliśmy już tam także sporą gromadkę, która co lato matkę naszą otaczała.

Gdy nadchodził 2-gi wrzeźnia, mówiliśmy dużo o Zwoli, o dawnych rodach i dawnych ludziach, których my już tylko pamiętamy, dla młodszych, to są cienie, dawno odbiegłe w czas.

Dobrze by było pojechać na te imieniny do Zwoli, pewno tam dzieci ciągną matce wieszować, zobaczyłybyśmy się z dawno nie widzianymi krewnymi, a to tak miło przypomnieć sobie czasy, kiedy to kłopot o jakąś sukienkę bywał najcięższym zmartwieniem. Lecz takie ulewne deszcze padają od kilku dni, że nie sposób myśleć o wyjeździe. Teraz wprawdzie drogi w Świętokrzyskiem są dużo szersze i ponaprawiane, lecz po tych ulewach porwane na pewno.

Niestety, na nic marzenia odświeżenia wspomnień!



Rano bardzo słyszę duży ruch na podwórzu, uchylam rolety, pogoda cudna, słońce bez chmurki, jakby wymyte tyloma dniami deszczu. Ruch zaś podwórzowy pochodzi stąd, że to słońce zbudziło wszystkich i zbudził we wszystkich ochotę jechania do Zwoli.

Furman szwagra, Paweł, myje bryczkę, czyści konie, uprząż, nawet szuwaksem myje koniom kopyta, żeby wśród wiejskich ekwipaży nie ostatnio wyglądać.

Bacia (matka nasza) już posłała na miasto po konie do powozu, dzieci nasze latają szczęśliwe z projektu.

Jedziemy: ja, mama i Jurek powozem, Plenkiewiczowie, Antosia i jej córeczka – bryczką. Gdy mamy ruszać, wpada sąsiadka, pani Jaroszyńska z prośbą, żeby zabrać jej wnuczka, towarzysza zabaw z Jurkiem, który się u niej w domu zanosí od płaczu, widząc, że kompan jedzie, a on ma zostać. A nosi już mundur wstępnej klasy i starszy od Jerzego, który już na koźle siedzi i bat dzierży w ręku. *"A niech siada"* – mówi mama. *"Maniek, włącz prędko"* – mówi Jurek. Maniek nie daje sobie dwa razy powtarzać i już jest w powozie.

Do Zwoli można zawsze kogoś przywieźć, tam zawsze radzi i wiemy, że gość kłopotu nie zrobi, bo cały dom urządzony po prostu, ale dostatnio.

"Pamiętaj Maniek, żebyś się znalazł przy odjeździe, poza tem bawcie się, jak chcecie, byle karków nie skręcić."

Jurek, bywalec Zwolski, zaczyna Mańkowi cuda o źrebiętach łysych, karych, kasztanowatych, opowiadać, lubi tam jeździć, bo mu tam furmani na wszystkie kunie wsiadać pozwalają, a wuj Wacek, wtedy jeszcze kawaler, brał go z sobą wszędzie w pole i konno.

Ranek wymarzony, w lesie rozkosz, szosa bez kurzu, dzieci lecą piechotą pod każdą górkę, a i my chętnie idziemy oddychając powietrzem, które aż odurza.

Około południa z góry pod Wolą Dobruchny widzimy kilka bryczek z różnych stron dążących do dworu, widać nie tylko nas ta pogoda pobudziła do jazdy. Na ganku gwarno, teraz to już poważnie wysiadamy, ale nasze dzieci wyskakują jak my przed laty.

Wnuków aż się roi, zapoznają się prędko z naszymi i lecą pod lipy na huśtawkę, zupełnie jak my przed laty.

Wuj posiwały, lecz po dawnemu gości wita, dziękując za przybycie, ciocia mniej zmieniona, w tęgiej tej samej jak przed laty sukni i z takim samym uśmiechem jak dawniej pyta: *"No, co będziecie jedli?"*

Dzieci są wszystkie, a tych, co już nie wrócą, każdy z nas ma w serdecznej pamięci i brak ich tu nie czuje.

Witamy się z radością, widzujemy się, lecz tak razem się zebrać coraz trudniej przychodzi.

Gości coraz przybywa: Rudzcy z Gorzkowa z siostrą Naci Michałowej z Niną, Gawrońscy z Cebra z dwoma córkami, ciocia Malewska z Włodkiem ze Staszowa, Staś Malewski z Odrowąża z Piotrkowskiego, pani Czaplicka z siostrzenicą, panną Paszkowską, pp. Włodzimierzostwo Majewscy ze Starej Słupi, pani Chelińska z domu, siostra Naci, panna Majewska, jest p. Buczyński spod Częstochowy, p. Strużyński z Opatowa i jeszcze dużo gości letników.



U każdego z tych państwa była jakaś kuzynka, krewny, student lub jaki ośmioklasista korepetytor. *"Jedziemy, jedź pan z nami."* – *"Maniusiu, masz jedną sukienkę? Do Zwoli strojów nie potrzeba, jedź, zabawisz się, siadajcie."* I ta młodzież, oczywiście, chętnie siadała i w saloniku Zwolskim zrobiło się gwarno i pełno, a i w ogrodzie na ławkach pod lipami grono liczne i po ulicach spacerują młodzi i latają w cwał małe wnuczki. Stworzyło się zebranie, którego się wujostwo nie spodziewali.

Wiedzieli, że zawsze ktoś z dzieci przyjedzie, ale te ulewy, zdawało mi się, że wszystkim gust do podróży odjęły. I byłyby odjęły, gdyby potrwały, słońce wyjrzało i wszystkich do ruchu popchnęło.

Muszę przyznać, że na S-ty Stefan, zjeżdżano się bez oficjalnych zaprosin, kto był życzliwy przybywał osobiście winszować.

Trochę sobie myślę, jak to będzie, bo bądź co bądź zjazd duży, a na dużo mniejszy liczone. Do wieczora się bawią w ogrodzie, o zmierzchu zapalono światło i mama grać zaczęła.

My wszystkie mężatki nie tańczymy, wolimy z sobą się narozmawiać, ale młodzież przybyła się w pląsy z taką ochotą, że patrząc na to, lata mi znikły z pamięci.

Inni ludzie, ale salonik ten sam. Ale jest wielka klęska, oto ulewy tak zamuliły studnie miejscowe, a i w bliskich wsiach, że woda jest aż gęsta. Piwo jest, wina też trochę, lecz o wodę ciągle wołają i herbata jaka będzie?

W innym domu gospodyni by się zamartwiała, ciocia o tem ani myśli. Nalewają w wielkie karafki, a co się trochę ustoi, mieszają z sokiem i jest lemoniada. Na herbatę tak samo, a ochota taneczna jest taka, że ani patrzą, ani smakują, tylko piją. Włodek Malewski dowodzi świetnie i minut spocząć nie daje. Aż miło patrzeć, jak te młode grono wesoło hasa.

A wuj chodzi wśród nich, uśmiecha się i jest bardzo rad. Cioci pomagają córki, służby nie ma tak wiele, bo tylko domowa i nakryć może trochę braknąć, bo któż się mógł takiego zjazdu spodziewać, lecz cioci spokojność zwycięża wszystko. *"Moja ciociu – pytam – cóż ciocia robi z potrawami na tyle osób, samej rodziny jest dużo, a tu i obcych masa przyjechała"* – *"A cóż, miałam sporo rzeczy gotowych, bo dzieci z wnukami zawsze parę dni bawią, więc z tego będzie kolacja, a potem, co która bryczka zajeżdżała, to kazałam nową parę kurcząt zabijać, owoce są, ciasto upieczone, to się wyszykuje, a co będzie brakować, to goście darują, czym chata bogata."*

I rad była ta chata zawsze i goście radzi w niej zawsze.

Mówię do Włodka: *"Jak tam twoja gwardia, po tej gęstej lemoniadzie tańcować będzie"* – *"E, kto by też no takie bagatele uważał, taniec grunt, a wreszcie, kto by ich się tam pytał, czy dobre."*

Stroje są różne, panienki jasno - w lekkich sukienkach, ale młodzież zaskoczona niespodzianie to w mundurach, to w smokingach, tylko sąsiedzi w tużurkach, ci letnicy, w czym który miał. Staś Malewski sam jeden przywiózł frak, chce go włożyć, ale że sam jeden tylko, więc się namyśla. Ja się odzywam: *"A włóż, i będziesz lody roznosił"* – *"Masz racje"* - powiada - *"Sam, to wyglądałbym na lokaja"*. I poprzestał na tużurku.

Stoły przyrządzono, nakryto, kolację podano i bardzo dobrą, wystarczyło na wszystkich doskonale, młodzież zajadała, aż miło. Dzieciarnia miała stół osobny i jedzenia do syta, matki tam o nich nie zapomniały.



Trza też dać folgę twardemu żywotu,
Zmyć ręce z pracy, otrzeć czoło z potu
I wyrzeć z domu na szerszy świat Boży,
Zobaczyć, czy tam lepiej, czy też może gorzej.

Ujrzeć, poradzić sąsiady, choć czasem
Pokrzepić ducha, żeby biedzie sprostać,
By się nie poddać, rozpaczy przed czasem,
I przy swej wiosce nadal się pozostać.

Bo ciężkie czasy przyszły na ziemiany,
Rzadki z nich dzisiaj w mieniu nie zachwiany,
A każdy wie to, jak dziś w świecie ciasno,
I gdy fortunę utraci swą własną,

To, zaczem znajdzie byt dla się i dla dzieci,
Długo się biedny oczyma naświeci,
Nacierpi nędzy, wstydu i zawodu,
A często nawet, że i przymrze z głodu.

Toteż sąsiady naśladowają Ciebie,
Siedzą kamieniem, każdy w ziemi grzebie,
A jeśli czasem zapragną zabawy,
Trzeba im przebaczyć, wszak to ludzkie sprawy,

I gdzieżby wreszcie młodzi się poznali,
Gdyby się nigdy nigdzie nie zjeźdzali.
Otóż, kiedy się święty Rafał staje bliski,
Rumor się robi w Górach Świętokrzyskich

Zwożą się krawcy, biegają posłańcy,
Panny się stroją, ładują do tańcy,
Młodzież poluje, by uszczwać zwierzyny,
By się przysłużyć czymś na Imieniny.

Furmani z miejsca nadwiązują baty,
Z dała już palą Panu na wiwaty,
Każdy się stara, by nic nie zaniechać,
Żeby też piękniej do Zwoli zajechać.

Myją powozy i czyszczą zaprzęgi,
Nikt nie żałuje czasu i mitręgi .
Jadą ochoczo, bo wiedzą, że radzi
Państwo we Zwoli, gościom i czeladzi.



A nowe konie przyspieszają kroku,
Szeptają: "Śpieszmy się, tam dają obroku!"
Choć gości jedzie, po dwoje, po troje,
I choć we Zwoli niewielkie pokoje,

Lecz, że dziedzice i ludzcy, i szczerzy,
Więc się rozchodzi dworek, coraz szerzy.
I żeby nie wiem, ile ich przybyło,
Każdemu jakoś przestronnie i miło.

Bo pańskie domy to zacieśnia pycha,
Ale szlacheckie gościnność rozpycha.
A gdy się zjadą i zacznie zabawa,
Jak to tu idzie wszystko podług prawa,

Nie pisanego, lecz święcie czczonego,
Bo rodzinnego i czysto polskiego.
Matrony pierwsze miejsce zasiadają,
Przed ich oczyma ich dzieci hasają.

Z takich to zabaw stadła się kojarzą,
Dalej mężczyźni w różnych grupach gwarzą,
A jeszcze dalej starsi w karty grają
Lub o poważnych rzeczach rozmawiają.

A młodzież okiem strzela, gdzie jej miło
A uchem słucha, jak to dawniej było.
O czym tu gwarzą, jak zwykle ziemianie?
Że zbiory kiepskie i że zboże tanie,

A potem o tem, co ich bardzo kole,
O sędzie gminnym, o wójcie, o szkole,
Potem co słyhać, co piszą w gazecie,
Jakie też będą przemiany na świecie.

I tak po trochu od żyta do gryki,
Zajdą na końcu i do polityki.
Bo nic na świecie tak się nie podoba,
Jak polityka, to nasza choroba!

Wnet się ktoś z gości zmienia w dyplomaty,
Wywraca trony, narody i światy,
Napoleon, Thiers i Bismarck wychodzą,
Na rozkaz jego kłócą się i godzą.



Toteż ciekawość w słuchaczach się wzmacnia,
A w mówcach wzrasta zapal i odwaga.
Nie trza tu wcale historii, ni karty,
Umysł statystów lotny i otwarty,

Wszystko obala i na to się krzepi,
Że i nam przecież kiedyś będzie lepiej.
Wojny, pokoje, sypią się jak z roga,
Aż w końcu wszystko za zrządzeniem Boga.

Znów się, jak dawniej, układa i godzi,
I zawsze dla nas na dobre wychodzi,
i wnet się wszyscy nadziei poddają,
I żeby się to jak najprędzej stało,
"Wiwat", wołają, wino nalewają,
I piją: "Oby nam się dobrze działo!"

Wino zagrzewa, nadzieja rozmarza,
Tak to bywało niegdyś i w Kruszwicy,
Więc "Wiwat!" – krzyczą, "Zdrowie gospodarza!
Wiwat dostojnej jego połowicy!",
A potem wznoszą jeszcze toast trzeci,
"Wiwat i dla dostojnych ichże małych dzieci!"

A wszędzie słyhać wesołości śmichy,
Pan coraz nowe napełnia kielichy,
A pani ciasta i jadła roznosi,
A już tak pięknie namawia i prosi,
Że choćby człowiek, miał serce z kamienia,
To się wymówić nie miał by sumienia.

Prawda, że później, gdy wino podziała,
Szlachta się robi wymowna i śmiała,
Nieraz wymówi komu jego winy,
Albo przykarci nieuczciwe czyny,
Boć i my przecie ludzie nie bez grzechu,
Lecz zaraz uraz topi się w kielichu.

I niech tu przyjdzie, kto chce, choć z Paryża,
I powie, czy tu kto komu ubliża?
Czy się zabawa na chwilę przerywa?
Czy kto żałuje, że na niej przebywa?

Bo nasz obyczaj pilnie strzeże wiary,
Żeby nie było ni burdy, ni swary,

A dom szlachecki w pośród gości grona,
Jest jak świątynia zgodnie poświęcona,
W której wśród zabaw w różnorodnym gwarze,
Dowcip, wdzięk, skromność, chodzą z sobą w parze.

I przebież z końca w koniec naszych krajów,
Wszędzie dwór twórcą polskich obyczajów.
A prawdy o nas z ksiązek się nie dowie,
Gdy chcesz ją znaleźć, szukaj w żywym słowie,

Bo na podaniach prawda u nas stoi,
A ksiąg i gazet, na Boga, się boi.
Kto nas zna z podań, czci nas i szanuje,
A kto zna z gazet – hańbi i szkaluje.

Nie w księgach tedy szukaj o nas zdania,
A wsłuchaj się tedy i badaj podania,
One wciąż żyją jak żywały w przodu,
I są zwierciadłem naszego narodu.

I ta nam szkoła jedynie została,
Więc ją szanujmy i życzymy w przyszłości,
By długie lata w świętego Rafała,
Było we Zwoli jak najwięcej gości.

Ilża, dnia 24 października 1872 roku



Ilża - zamek i otaczająca go miejscowość

Powiązanie Janiny z Nowakowskich Bojarskiej
z trzema nazwiskami z *Albumu*:
Rawa-Gawroński, Rudzki, Targowski

